25

OCIEC DOBRY

KOMEDYA

Z

FRANCUZKIEGO NA OYCZYSTY

JĘZYK PZEŁOZONA.

Roku 1781.

OSOBY

STAROSTA CZULSKI, *Ociec.*
SKARBNIK GDYREWICZ, *Szwagier Czulskieg*
LUDWIKA, *Córka Starosty.*
JAN CZULSKI, *Syn Starosty.*
ZOFIA, *Panna nieznaioma.*
ERAST, *Syn zmarłego Przyiaciela Starosty.*
RZĄDNICKI, *Ekonom.*
MARYSIA, *Garderobiana Ludwiki.*
JOZEF } *Lokaie Starosty.*
ALBERT }
LORENS, *Lokay Erasta.*
Jnni służący domowi.
PANI POCZCIWSKA, *Ochmistrzyni Zofiji.*
PANI GAZA, *Kupcowa.*
Jey służąca.
NN. ✝✝✝ *iakiś uczciwy Ubogi.*
CHŁOP.
JNSTYGATOR.

Scena w Warszawie, w Domu Starosty Czulskiego.

OCIEC DOBRY
KOMEDYA.

Teatrum reprezentuie Salę różnemi Meblami ozdobioną. Noc późno zaszła.

AKT PIERWSZY
SCENA I.

STAROSTA, SKARBNIK, LUDWIKA, ERAST.

Na przedzie Sali Starosta zwolna przechadza się, Głowę schyloną, ręce na krzyż założone, cały zamyślony.

Ku środkowi Sali, przy kominku, Skarbnik z swoią Siestrzenicą gra w Lorce.

Z tyłu Skarbnika, bliżey ognia, Erast na Krześle siedzi trzymaiąc książkę w ręku. Przerywa czasami czytania, patrząc z tkliwością

na Ludwikę, która Grą zatrudniona nie może dóyrzeć tego.

Skarbnik nieſpokoyny co ſię dzieie za nim przez ſwoie poruſzenia, nie może podeyrzenie ſwoie utaić.

LUDWIKA.

Co to mu ieſt? Co tak WMc: Pana Dobrodzieja nieſpokoynym czyni?

SKARBNIK. (*kręcąc ſię na krześle*)

E nic moia Kochana. Nic. (*Do Eraſta*)

Mości Panie zechceſz WMc: Pan zadzwonić...

...Eraſt idzie zadzwonić. Skarbnik pod ten czas bierze krzeſło Eraſta, y ſtawi na przeciw ſiebie. Eraſt przychodzi, ſtawi krzeſło na tym ſamym mieyſcu, gdzie było y uſiada; Skarbnik mówi (do Lokaia)

Swieć...

...Gra idzie daley. Skarbnik alternatą z ſwoią Sieſtrzenicą rzucaią koście (do Ludwiki.)

Zeź y Cynek.

ERAST.

Doſyć ſzczęśliwie.

SKARBNIK.

Zchodzę z iedney, nakrywam drugą.

LU-

LUDWIKA.

A ia Mći Dobro: wyrzuciłam Zezy Zezy....

SKARBNIK (*do Erasta*)

Że też WMc: Pan masz Passyą mieszać się do Gry

LUDWIKA.

Zezy.

SKARBNIK.

To mnie nieprzytomnym czyni, y cierpieć nie mogę, kiedy mi kto z tyłu zaziera.

LUDWIKA.

Zez, y kwadra: co miałam, czynią dziesięć.

SKARBNIK.

Mòy Mci Panie; wielką mi uczynisz łaskę, kiedy się ztąd gdzie indziey przeniesiesz.

SCENA II.

CIZ SAMI Y JOZEF.

STAROSTA. (*zmartwiony*)

Ni sami szczęścia nie znaią, ani nam dozwalaią czuć iego... Niestety! zamiast nie utraconego ukontentowania, które obiecywałem sobie, zmartwienie tylo życie ich przyniosło...

... *Jòzef przychodzi z świecami y stawia ie gdzie potrzeba. Na swym mieyscu Starosta go woła.*

Jòzefie?

JOZEF.

Co Pan każe?

STAROSTA (*zamyśliwszy się trochę*)

Gdzie iest syn móy?

JOZEF.

Wyszedł.

STAROSTA.

Jak dawno?

JOZEF.

Niewiem iak dawno.

STAROSTA (*zamyśliwszy się trochę*)

Y niewiesz gdzie on poszedł?

JOZEF.

Niewiem Panie.

SKARBNIK.

Hultay! nic nigdy nie wie. Tuzy.

LUDWIKA.

WMc: Pan Dobrodziey gry nie pilnuiesz.

SKARBNIK (z *Miną grubiańską*)

Moia Kochana, myśl o swoiey!

STAROSTA (*do Józefa zamyśliwszy się trochę*)

Nie kazał ci iść za sobą?

JOZEF

Co Pan mòwi?

SKARBNIK.

Właśnie on na to odpowie. Terny..

STAROSTA (*zawſze przechodząc ſię y zamyślony.*)

Dawnoż już to tak ieſt?

JOZEF.

Co Pan mówi?

SKARBNIK.

Y tego nie uſłyſzy. Terny ieſzcze, podwòyna mi wſzyſtko wypada.

STAROSTA.

Jak długą mnie ta noc zdaie ſię.

SKARBNIK,

Jeśli raz ieſzcze podwòyna wypadnie, to przegram... otoż y ieſt (*do Eraſta*) śmiey ſię Wmc Pan, śmiey ſię, nie żenuy ſię.

Józef wychodzi, gra kończy ſię; Skarbnik, Ludwika y Eraſt przychodzą do Staroſty.

SCENA III.

STAROSTA, SKARBNIK, LUDWIKA, ERAST

STAROSTA.

Jak mnie nie ſpokoynym czyni! gdzie on ieſt?

co

co z nim ſię ſtało?

SKARBNIK.

Y kto wie o tym? aleś ſię już y nadto zmęczył móy Bracie; poſłuchay mnie, a zażyi ſpoczynku.

STAROSTA.

Ah już iego nie ma dla mnie:

SKARBNIK.

Jeśliś go ſtracił, ſameś temu winien; y s. p. Sioſtra moia, była to, (niech iey Pan Bóg nie pamięta) iedyna Kobieta do zepſucia Dzieci!

LUDWIKA (*dotknięta*)

Mci Dobrodzieiu!

SKARBNIK.

Darmo to było wrzeſzczeć, krzyczeć, Ey, nie dawaycie tyle woli Dzieciom, bo ie zgubicie.

LUDWIKA.

Mci Dobrodzieju!

SKARBNIK.

Jeśli już teraz tobie dopiekli; cóż to będzie potym . . . iak podroſną? to cię zamęczą.

LUDWIKA.

Mos Panie Skarbniku?

SKAR.

SKARBNIK.

Ho, Niewiedziałem, że mnie ſłuchaią.

STAROSTA

Jeſzcze, nie przychodzi!

SKARBNIK.

Co potym że wzdychaſz, ięczyſz, nic to nie nada, trzeba wdziać inſzą na ſiebie maſkę, a dać poznać, żeś ieſt Oycem. Przeciwnie zaś trzeba ſię uzbroić w cierpliwość, na znaſzanie umartwień których już czas nadſzedł..... Między nami mówiąc, wątpię barzo..... ſzóſta już bije.....czuię ſię zmordowanym..... nogi coś moie ſłabe, iak gdyby podagra miała mię znow męczyć..... Nie zdam ſię Wm. Panu na nic. Więc pòydę ſobie do mego gabinetu, y w moim barankowym ſzlafroku ſiedzieć ſobie przy kominku będę adieu Braciſzku..... nie ſłyſzyſz?

STAROSTA

Do zobaczyſka ſzczęśliwego..

SKARBNIK (*idąc*)

Jòzefie!

JOZEF (*ze wnątrz*)

Co Pan każe?

SKARBNIK.

Poświeć mi: a żebyś mię oſtrzegł, iak mòy

Si-

Sieſtrzan przyidzie.

SCENA IV?

STAROSTA, LUDWIKA, ERAST.

STAROSTA (*przechadzaiąc ſię*

Moia Córko, wybacz mi, że noc całą ſtrawiłaś z nami!

LUDWIKA.

Nie uczyniłam nic nad powinność.

STAROSTA.

Bardzo ci wdzięczen ieſtem za tę attencyą; ale boię ſię, by ci to nie zaſzkodziło. Pòydź lepiey, odpoczniy ſobie.

LUDWIKA.

Już ieſt bez tego pòźno. Gdybyś mnie móy Oycze pozwolił mieć tęż ſamą troſkliwość o twoie właſne zdrowie, iakieś mieć raczył o moie.

STAROSTA.

Chcę zoſtać, muſzę mu mówić.

LUDWIKA.

Móy Brat nie ieſt iuż Dzieckiem.

STAROSTA.

Któż zgadnąć zdoła, całe nieſzczęście, które iędna noc przynieść mu mogła.

LUDWIKA.

Mòy Oycze....

STAROSTA.

Będę go czekać. Będzie mię widziec: (*ści-ſka ią*) Jdź moia Córko do ſiebie, ieſtem pewien, że mnie kochaſz; (*do Eraſta*) a WMc: Pan ſię zoſtań.

SCENA V.

STAROSTA, ERAST.

STAROSTA. (*iakby ſam był, y u ważaiąc na odchod Ludwiki*)

Cały ſię Jey Charakter zmienił. Niema iuż tey weſołości, tey żywości.... Nikną wdzięki.... Znać że cierpi.... Nieſtety! z śmiercią żony moiey, y z wnieſieniem ſię Skabnika do Domu moiego, ſpokoyność, a z nią y ſzczęście na zawſze prawie mnie opuściło!.... Obiecuie dzieciom moim dziedzictwo maiątkow y zbiorow ſwoich' ale nadzwyczayną daiąc im cenę, barziey ich martwi. Przez ſwoie wynioſłe obchodzenie ſię y powagę, którą w Domu moim przywłaſzczył ſobie, codzień mnie nieznośnieyſzym ſtaie ſię.... Zyliśmy ſpokoynie y zgodnie. Natrętne Człeka tego dziwactwa podzieliły nas. Boiaźń, nie uſ-

usność ich skutki; które tym mnie są okropniey-sze, że y w lata podeszły iestem. y z dzieci moich wsparcia na starość spodziewałem się opuszczony iestem, iestem sam ieden w łonie całey Familij moiey, y niszczeię.... ale iuż dnieie, Syna mego niemasz ieszcze.... Eraście ciągłe umartwienie trudzi mą duszę już mi stan móy obrzydłym zdàie się.

ERAST (*z podziwieniem*)

WMc. Panu Dobrodziejowi?

STAROSTA.

Tak iest.

ERAST.

Jeśli WMc. Pan Dobr. nie iesteś szczęśliwym, ktòryż inny iest Ociec?

STAROSTA.

Żaden.... Móy Przyiacielu, łzy Rodzicow nie są rzadkie, tylko skryte.... (*wzdycha y płacze*) widzisz moie.... zlituy się.

ERAST.

Mógłżebym w czym zaradzić?

STAROSTA.

Bylebyś chciał tylko!

ERAST.

Rozkaż WMc. Pan Dobrodziey.

STA-

STAROSTA.

Nie mogę rozkazać. Prośić będę. Eraście, miałem o tobie ftaranie od dziecińftwa twego, aż do tych czas równą pokazywałem przychylność, ieśli ią czułes, y że cię nie różniłem od Syna mego; że fzanowałem w twoiey ofobie przyiaźń zmarłego Oyca twego, który mi zawfze przytomnym być nie przeftanie,... Martwię cię, ieft to raz pierwfzy y oftatni.... Jeśli pamiętafz, że nic nie zaniedbywałem do nadgrodzenia niefzczęść na ciebie fpadłych, y umiałem zaftępować Oyca twego, żem cię fzczerze kochał, żem ciebie chował w domu moim, mimo Brata moiego wolę, ktòremuś fię nie podobał, nakoniec; ieśli to cię przenika, że ci me ferce otwieram zupełnie, za wdzięczną dobroć a odpowiedź zaufaniu.

ERAST.

Rozkaż tylko WMc. Pan Dobrodziey?

STAROSTA.

Niewiefz ty nic o Synie moim?... Przyiacielem Jego ieftes, ale y moim być powinieneś.... Mów... Powróć mi fpokoyność, albo mi ią wydrzyi do oftatka.... Mówże, czy nie wiefz nic

o

o Synie moim?

ERAST.

Nic niewiem.

STAROSTA,

Jesteś rzetelnym; muszę ci wierzyć, Uważ tylko iak daleko niewiadomość twoia pomnaża niespokoyność moią. Jakie być musi Syna mego życie, kiedy ie ukrywa przed Oycem, którego łaski tyle doznawał razy, kiedy ie ukrywa przed tym nawet, który zaufanym był Jego przyiacielem?.. Eraście, lękam się, by te dziecie....

ERAST.

WMc. Pan Dobrodziey Oycem iesteś, a Oyciec każdy lęka się co moment.

STAROSTA.

Nie wiesz nic, ale iak się dowiesz, nie wątpię, że moią potwierdzisz boiaźń.... wyznay sam, czy nie odmienił się on zgruntu od nieiakiego czasu.

ERAST.

Prawda, ale z zyskiem mniey iuż iest osobliwy w koniach, ludziach, Ekwipazu; mniey wymyślny w stroiu; nie ma iuż tych dziwactw, któreś mu WMc. Pan nieraz wymawiał. Zbrzydził

iuż

iuż ſobie wieku ſwego zbytnią żywość. Unika Podchlebcow y Przyiacioł obłudnych; lubi ſamotność, y w niey codzień godzin kilka trawi. Czyta, piſze, myśli. Tymci lepiey. Formuiąc ſiebie tak doſkonale, poprzedził nawet WMc. Pana Dobrodzieia wolę.

STAROSTA.

Właśnie tóż ſamo y Ja myślałem; alem nie dawno dowiedział ſię, czego ty ieſzcze niewieſz.... Słuchay.... Ta odmiana, którey mnie winſzuieſz, y te wycieczki w nocy, które mnie lękaią....

ERAST.

Wycieczki w nocy y ta odmiana?

STAROSTA.

W iednym zaczęły ſię czasie (*Eraſt zdziwiony*) Tak Przyiacielu o iednym czaſie.

ERAST.

A to oſobliwa!

STAROSTA.

Ale to ieſt pewna. Nieſtety! ten nierząd nie dawno mi znaiomy, ale już trwa długo..... razem ſtać ſię nierządnym, y formowanym; razem dwie wzręcz przeciwne rzeczy robić; w dzień żyć przykładnie aż do podziwienia; w nocy zaś

bez

bezrządnie uważ ieśli się próżno martwię .... mimo wrodzoną sobie ambicyą, upodlać się, aż do przekupowania ludzi; zamòwić sobie Bramę Domu moiego; czekać, póki ja nie zasnę, szpiegować tego; wychodzić z domu w nocy, samemu, piechoto, bez człeka; iest to konduita, ktòrey żaden Oyciec cierpieć, znaszać niepowinien, y ktòrey ieden Syn wieku iego nie odważył się ieszcze .... a przytym, pokazywać attencyą na naymnieyszy obowiązek, delikatność sentymentow skromność w mowie, gust samotności .... ah, Przyiacielu .... Co się spodziewać po młodzieńcu, ktòry się maskować y przewyciężać do takiego umie punktu .... Przenikam ja przyszłość, y tym się martwię. Gdyby miał tylko nałogi y namiętności, nie rozpaczałbym. Ale kiedy już cnotę udawać umie ....

ERAST.

Szczerze mòwię, nic tego nie rozumiem; ale przecie znam Wmc Pana Syna; on z natury fałszywości nienawidzi.

STAROSTA.

Naylepszy w złey się popsuie kompanji; a teraż w iakieyże inszey żyć on może? wszyscy godni

śpią,

śpią, kiedy on łaźi....– Ah Eraście.... zdaie mnie ſię, że ktoś idzie.... Może to y on... Oddal ſię.

SCENA. VI.

STAROSTA ſam (*zbliża ſię ku mieyſcu, gdzie chod ſłyſzał. Przyſłuchiwa ſię y mówi*)... Już nieſłychać (*przeydzie ſię trochę y mówi*) uſiądźmy (*chce ſpocząć nie może*) Nie mogę zaſnąć... Przeczucia iakieś kłócą duſzę.... O ¡Oycze nadto czuły! nie możeſzże ukoić ſię na chwilę.. W tym właśnie momencie traci może zdrowie ſwoie.... Maiątek.... kaźi obyczaie... Któż zgadnie? może y życie.... albo honor.... y właſny, y móy.... (*porywa ſię raptownie*) iakież mnie myśli biorą!

SCENA VII.

STAROSTA, NIEZNAIOMY

STAROSTA. –

Kto ieſteś? gdzie idzieſz?

(NIEZNAIOMY *milczy*)

STAROSTA

Kto ieſteś? gdzie idzieſz?

(NIEZNAIOMY *milczy ieſzcze*)

STAROSTA *podwyżſza kapeluſz iego, poznaie Syna.*

O Nieba! .. wſzak to on ... on zapewna .. okropne przeczucia moie ziściły ſię ..... ah ... (*oſtatnią pokazuie żałość, oddala ſię, zbliża ſię)* chcę mu mòwić ...

Ah! ... ſtrach mnie bierze ... możebym co uſłyſzał ... cóż mam czynić ... ah ... czegoż żyię ieſzcze! czegoż żyię ieſzcze!

(*Jan oddala ſię od Oyca, y wzdycha żałośnie*)

Ah!

STAROSTA (*ganiąc go*)

Któż ieſteś? z kąd ieſteś? miałżebym nieſzczęście!

JAN (*oddalaiąc ſię ieſzcze*)

Ah! ieſtem naynędznieyſzy!

STAROSTA (*z przeſtrachem*)

O Boże! czegoż ia ſię tu dowiem!

JAN *powracaiąc y mòwiąc do Oyca,*

Ona płacze. Ona wzdycha. Chce z tąd wyiachać! ah zginąłbym na zawſze! (*oſtatnie ſłowa z roſpaczą*)

STAROSTA.

Kto ona?

JAN

Zofia.... Nic Zofio, nic... prędzey życie ſtracę, niżli....

STAROSTA.

Y któż to ta Zofia?.... Co to ſię ona tycze ſtroiu tego, w którym cię widzę.... Drżę cały...

JAN *u nóg Oyca)*

Mòy Oycze, u nóg mnie widziſz ſwoich. Twóy Syn, nie ieſt niegodnym ciebie. Zlituy ſię więc nad nim... zginąć musi... bo traci tę, którą naywięcey w życiu ſwoim ceni. Ty ſam możeſz ią tylko zachować jemu. Wyſłuchay mnie, przebacz, y dopomóż.

STAROSTA.

Mów okrutny! ty raczey miey nademną litość; bo ja iey aż nadto mam dla ciebie.

JAN (*zawſze u nóg Oyca*)

Jeślim dobroci twoiey doznawał zawſze, y ią nie utraciłem; ieśli od młodych lat moich łagodność twoia wyſławiała mnie twą oſobę, nie Oycem, ale Przyiacielem; ieśli do tych czas śmiałość miałem zwierzania ci ſię wſzyſtkich moich żalow y radości; miey wzgląd na mnie a nie opuſzczay. Zachoway mi Zofią; niech ſzczęście moie z twey

odbieram łaſki; y winien będę tobie, co tylko mieć będę naydroższego w życiu. Proteguy Ją... chce z tąd wyjachać, iuż to ieſt pewna .... Racz ją widzieć, a razem odwieść ją od tego zamyſłu .... Syna twego życie na tym zależa .... jeśli ią widzieć zechceſz, uczyniſz mię nayſzczęśliwſzym ze wſzyſtkich dzieci, a ſiebie ze wſzyſtkich Rodzicow.

STAROSTA,

W iakimże on ieſt zaślepieniu! ktòż to ieſt ta Zofia?

JAN (*podnioſł ſię przychodząc y odchodząc*)

Kobita nędzna, nieznaioma, w ciemnym zakątku mieſzkaiąca; ale to Anioł, Anioł zapewne! a ten zakątek Niebem zdaie ſię. Nigdym nie wyſzedł z tamtąd nie ſtaiąc ſię lepſzym. Przypominaiąc kilkogodzinnych zabawek niewinnie z nią pędzonych; brzydzę ſię życiem, którem wiodł do tych czas, żyć z nią do śmierci moie pragnienie, choćbym był zapomnianym wzgardzonym od wſzyſtkich... Rozumiałem dawniey żem ſię kochał.... Omyliłem ſię.... Teraz kocham ſię ſzczerze.... Tak ieſt, y to raz pierwſzy (*ściſkaiąc rękę Oyca*)

STA-

STAROSTA.

Zbytnio waść widzę dufafz w moią łagodność. Niefzczęsny przeftań mnie martwić!.... Potłum te fwe zapędy, a odpowiaday z uwagą. Co to znaczy te nędnze ubranie? co mam z niego wnośić?

JAN.

A mòy Oycze ieft to fuknia, ktòrey fzczęście moie winienem.

STAROSTA.

Jakim fpofobem? gaday!

JAN.

Trzeba fię było w iednym z nią pokazywać ftanie, ukryć urodzenie, a ftać fię jey równym. Wyfłuchay mnie tylko.

STAROSTA.

Ach! mówże.

JAN.

Przy tym odległym zakątku, który ją kryie od ludzi.... To iuż oftatni był mój fpofób.

STAROSTA.

No y cóż?

JAN.

Przy tym Domeczku był drugi, właśnie taki.

STAROSTA.

Dokończże!

JAN.

Naymuię go. Tam każe znośic narzędzia nędznemu przyzwoite. Stawam tam, ſtaię ſię Jey Sąſiadem pod imieniem Antoniego Biedulſkiego przykryty obdartą łachmaną.

STAROSTA.

Ach! oddycham!... Dzięki BOGU! błąd więc Jego ieden tylko, a ten zaślepienie.

JAN.

Uznay, więc Oycze we mnie miłości potęgę... ach iak ona mnie ieſt miłą! ach!

STAROSTA.

Ocuć ſię a pamiętay, że nie wyiednasz wykroczeniem ſwoim u mnie przebaczenia, tylko przez zupełne y zaufane wyznanie.

JAN.

Móy Oycze! wſzyſtko wiedzieć będzieſz. Nieſtety! ten ieden tylko zoſtaie mi ſpoſob do zniewolenia ciebie.... Naypierwſzy raz widziałem Ją w Kościele, klęczała u Ołtarza przy podeſzłey w lata Kobiecie, ktòrą wziąłem za Jey Matkę.... Spóyrzenia przenikaiące... Ach móy Oycze! co

za

za ſkromność, co za wdzięki.... Nie, nie ieſt w mocy moiey równe Jey tobie dać wyobrażenie, iakie ieſt w mym ſercu wyryte.... Uczułem zaraz iakąś nieſpokoyność!... Nadnaturalny gwałt iakiś mnie opanował, pod którym cierpiało ſerce! ſam nie wiedziałem, co ſię ſtało zemną!... Od tego momentu zawſze mi była przytomną. Nie myśliłem, tylko o niey; słowem, w dzień, w nocy, zawſze y wſzędzie; zawſze mnie była na myśli, zawſze kłóciła mnie. Straciłem weſołość, ſtraciłem zdrowie, ſpokoyność, nie czułem tego. Nakoniec życie ciężarem zdałomi ſię bez niey, y przedſięwziąłem wynaleść ſpoſób z nią widzenia ſię. Biegałem, gdziem tylko ſpodziewał ſię Ją znaleść. Nudziłem ſię, dziwaczałem, wſzak ſam wieſz móy Oycze; ſkorom ſię dowiedział, że ta kobieta, którą Zofia Jmością nazywała, zwała ſię Pani Poczciwſka, y że zapakowane na czwartym Piątrze pod dachem nikczemnie y w oſtatniey żyły nędzy.... Mam że ci wyznać nadzieię, którą powziąłem na ów czas, podarunki, które czyniłem, wſzyſtkie proiekta, które przedſiębrałem.... Ach wiele ſię to Ja razy wſtydzić Jch muſiałem, a będąc od niey upomnianym, z żywym uczu-

ciem

ciem wymawiałem nieraz ſobie bezczelność o. wagi.... Móy Oycze, mogę cię śmiało zapewnić, że wſzyſtko, co do niey wolny ma przyſtęp, muſi być uczciwe, inaczey; wzgardzon ieſt od niey. WMc. Pan Dobr: nie wieſz, co Jey winienem..... Ona mnie odmieniła. Nie ieſtem iuż tym, czym byłem.... Z ſamym Jey poznaniem nabrałem iakąś przemoc nad ſobą, uczułem bezsilność pragnieniow płochych, ſzacunek y uſzanowanie władnąć mną zaczęły. Bez ſłowa naymnieyſzego, zmarſzczenia, zawſze ſam ſobie cóś wymawiałem; przez co ſtałem ſię lękliwym, a codzień barziey. A w krótce ſzanuiąc Jey niewinność, równym Jey cnoty iak y życia ſtałem ſię obrońcą.

STAROSTA.

Czymże te żyią kobiety?

JAN.

Ach gdybyś mógł ich widzieć życie! wyobraźay ſobie WMc: Pan Dobr: że praca ich poprzedzą świtanie, a częſto bardzo przy niey y nocy trawią. Dziewczyna przy przędzidle. Mięciuchne Jey palce pracuią, około oſtrych y grubych nici, nie raz ſię imi obrażą. Oczy jey, które

ſą

ſą naypięknieyſzemi na całym świecie, pſuią ſię przy lampie. Zyie pod dachem, pomiędzy cztérma gołemi ścianami. Stół drewniany, dwa krzeſła drewniane, y zydel, całe iey meble.... o Boże! kiedyś ty ią ſtwarzał, czyżeś ten los na zawſze Jey przeznaczył.

STAROSTA.

Jakżeś tam do niey przyſtęp ſobie zrobił? wyznay wſzyſtko.

JAN.

Wſzyſtko, co mi ſię zdarzało, wſzyſtko, com czynił, ieſt do podziwienia! ſtanąwſzy przy niey, niechciałem zaraz ią nawiedzić; ale kiedym je ſpotykał, witałem ſię z iak naywiękſzym uſzanowaniem. W wieczor kiedym przychodził (bo w dzień rozumiano mnie przy pracy) ſtukałem ſię czaſem do ich drzwi, wymagałem małych uſług, które w ſąſiedztwie czynią ſię zwyczaynie, naprzykład: wody, ognia, światła, w krótce potym toż ſamo wyciągali po mnie. Widziały, iakem chętnie ofiarował ſię zawſze uſłużyć im w podobnych fraſzkach. Naprzykład, nie lubiły wychodzić w nocy, więc kiedy im czego trzeba było, Ja byłem używany.

STA-

STAROSTA.

Jle ſtarania, przykrości!... na co to zda ſię?...
Ha, gdyby godni ludzie!... No, dokącz.

JAN.

Dnia iednego ſłyſzę, że ktoś do mnie ſtuka.
Była to Pani Poczciwſka. Weſzła, nic niemówiąc uſiadła, y płakać zaczęła. Pytam ſię, coby jey było? Antośiu, odpowie mnie ona, nie nad ſobą to ia płaczę! w nędzy urodzona, iużem do niey przywykła; ale te dziecie martwi mnie nieſkończenie.... Cóż ſię jey przecie trafiło? nieſtety! odpowie mi, od tygodnia roboty nie mamy, a przeto nic do życia.... Nieba! wykrzyknąłem; o to maſz Wmc Pani, idź do niey, ratuy. Po czym zamknąłem ſię, y już mnie więcey nie widziano.

STAROSTA.

Domyślam ſię, owóż ieſt ſkutek ſentymentow im wrażanych. Barziey ich ieſzcze nieſzczęśliwemi robią.

JAN.

Poznano moią ſamotność; tegom właśnie żądał.
Pani Pocziwſka wymawiała mnie. Ośmieliłem ſię. Wypytywałem ſię o ich ſytuacyi. Odmalowa-

wałem moią, według moiey woli. Przełożyłem im, abyśmy złączyli naſze ubóſtwo, y pracą rąk właſnych żyli razem. Czyniono mi trudnośći. Lecz za uſtawnym naleganiem zgodzono ſię nakoniec. Oſądź ſam kochany Oycze iakąm miał na òwczas radość? ale nie długo ona trwała, z niey powzięło ſię umartwienie, które, kto wie, ieśli ſię kiedy ſkończy. Przyſzedłem wczoray według mego zwyczaiu. Znalazłem ſamą Zofią. Łokcie jey były wſparte na ſtole, a głowa na ręku ſchylona. Robota jey walała ſie u nòg. Nie poſtrzegła, iakem wſzedł. Wzdychała. Łzy gwałtem z jey wydzierały ſię oczu, y toczyły ſię ciągiem iey twarzy.... Czegoż płakała? co ią dolegać mogło? zda ſię już nie niedoſtatek. Praca iey a moia pilność nie dozwalały iey brakować na niczym.... Roſpaczą boiaźń umorzona, dodała mi więcey odwagi, niżelim ſię pierwiey ſpodziewał; nie wahałem ſię więc. Padłem iey do nòg. Silne iey było zdziwienie! Zofia, mòwię, do niey, czego płaczyſz? co ci ieſt? Niechciey mnie taić twego umartwienia! chciey mnie ie wyznać. Zlituy ſię! umilkła. Łzy rzewniey ieſzcze zmoczyły iey

twarzycz-

twarzyczkę. Oczy iey z weſołey żywośći obnażone, włzach zatopione, zwracały ſię na mnie, opuſzczały. Tem tylo ſłowa uſłyſzał od niey; nędzny Antoni! barziey ieſzcze nieſzczęśliwa Zofio! wſparłem mą głowę na iey kolanach, a łzy moie ciekąc nieuſtannie ſpodnicę iey zmoczyły. Weſzła Pani Poczciwſka. Porwałem ſię, przybiegłem do niey. Wypytuię ſię. Powracam do Zofii. Proſzę ią; ale ſię uparła. Roſpacz mnie wzięła. Biegałem po ſtancyi, nie wiedząc co czynić. Wrzeſzczałem, płakałem; nareſztę żalić ſię zacząłem; moia to wina kochana Zofio! chceſz nas porzucić! moia to wina! ſam ſię znam do niey. Na te ſłowa łzy ſię iey wzmogły, y znowu ſię na ſtole układła, iakem ią znalazł pierwiey. Blada y ciemna światłość gaſzącey ſię lampy, dodawała więcey ieſzcze okropnośći do tey ſceny, która całą prawie noc trwała. W tym właſnie momencie, ponieważ godzina pracy nadeſzła, oddaliłem ſię, uciemiężony żałośćią, którą ci wynurzam.

STAROSTA.

Nie pamiętałeś, że y moia warta także litośći.

JAN.

Móy Oycze!

STA-

STAROSTA.

Czegoż chcesz? czegoż się możesz spodziewać odemnie?

JAN.

Ze zechcesz dopełnić dobrodzieystwa swoie, którem dotąd odbierał; że będziesz widział Zofią; że będziesz z nią mòwił; że....

STAROSTA.

Zaślepieńcze! wieszże kto ona iest?

JAN.

To tylko tai przedemną. Ale iey obyczaie, sentymenta, słowem całe ułożenie, nie zgadzaią się z dzisieyszym iey stanem. Jakaś szlachetność nędzny iey ubior przebija. Wszystko ją zdradza; a cnotliwa ambicya, która dobrego wychowania iest istotnym znakiem, czyni ią w tym stanie niedoścignioną.... Gdybyś iey widział bystrość, łagodność, skromność.... Przypomniy tylko sobie Matkę moią.... Wzdychasz ieszcze do niey! otoż to ona właśnie! mòy Oycze! chciey ią tylo widzieć; a ieśli Syn twòy, iedne Ci wyrzekł słowo.....

STAROSTA.

A taż kobita, ktòra iest przy niey; nic cię o

niey

niey nie uwiadomiła?

JAN.

Ha, równie 'y ona ieſt ſkrytą, iak Zofia! com mógł tylko dowiedzieć ſię, to ieſt, że te dziecie przybyło tu z Litwy; proſi iakiegoś maiętnego krewnego ſwoiego o wſparcie; który iey to odmówił, y widzieć ią nawet niechciał. Umiałem więć profitować z tey poufałości, zmnieyſzaiąc iey nędzę, bez obrazy naymnieyſzey, iey delikatnośći. Staram ſię iey czynić dobrze; ale to ieſt mnie ſamemu nie tayno tylko.

STAROSTA.

Wyznałżeś kiedy, że ią kochaſz?

JAN.

Ja móy Oycze.... Niewiem nawet; ieślibym w przyſzłym czaſie znalazł kiedy potrzebney do tego odwagi.

STAROSTA

Więc ſię rozumieſz nie kochanym?

JAN.

O nie móy Oycze!... Nieſtety! częſto barzo ſzczęśliwym ſię ſądziłem!..

STAROSTA

Przez co?

JAN

JAN.

Z małych rzeczy, które się czuią barziey, anizeli ie wymówić można. Naprzykład, zmartwienia moie ią obchodzą. Czasem twarz iey za weyściem moim weseliła się, więcey nabierała kolorow y żywośći, y zdałami się, iakby właśnie na mnie oczekiwała. Często barżo uskarżała się na długość pracy moiey. Nie wątpię, że nawet robotę przeciągała czasem nadzwyczay, ażebym mògł mieć prawo bawienia się z nią dłużey....

STAROSTA.

Wszystkoś mnie wyznał?

JAN.

Wszystko.

STAROSTA (*pomyśliwszy trochę*)

Jdę do siebie, spoczniy troche.... będę ią widział.

JAN.

Będziesz ią widział? ach mŏy Oycze,' widzieć ią będziesz!... ale pamiętay, że trzeba się spieszyć....

STAROSTA,

Jdź do siebie, a wstydź się, że nie umiesz potłumiać żywości zapałow swoich; pamiętay, abyś dalszym obeyściem swoim zasłodził mi zmar-

twie-

twienia, które ponioſłem z boiaźni o twoią Konduitę.

JAN.

Móy Oycze! iuż ich mieć więcey nie będziesz.

SCENA VIII.

STAROSTA *ſam.*

Jakże ſię to mogą zgodzić, uczciwość, cnota, dowcip, ſkromność; ſłowem, wſzyſtko, co ieſt znakiem dobrego wychowania; z młodością, nędzą y ubóſtwem.... Zaledwo z edney wywikłany nieſpokoyności, znowu zapadam w drugą.... Co za nieſzczęście!... ale ſię próżno może lękam.... Młody Chłopiec, tak daleko zapędzony, że ſam niewie, co z ſobą czynić.... Trzeba ią widzieć.... Trzeba tu ią ſprowadzić, mówić z nią.... Jeśli Ona ieſt taką, iaką on mi odmalował, będę mògł zniewolić Ją do.... Któż to zgadnie?

SCENA IX.

STAROSTA, y SKARBNIK, *w ſzlafroku y ſzlafmicy.*

SKARBNIK.

A co, ſercem ukochany Mci Panie Bracie?

wi-

widziałeś ſyna ſwego; cóż tam ſię ſtało?

STAROSTA.

Mci Panie Skarbniku; będzieſz WMc: Pan wiedział. Wniydźmy.

SKARBNIK.

Słowo tylko iedne.... otoż iuż ieſt com przepowiadał; Syn WMc: Pana wlazł w Awantury, które niebarzo pocieſzą. Nie prawda?

STAROSTA.

Móy Braciſzku!....

SKARBNIK.

Donaſzam WMc. Panu drugą z moiey ſtrony, abyś ſię nie uſkarżał, że przykrości gwałtownie Jego uciſkaią; oznaymuię więc, że Eraſt y naykochańſza WMc. Pana Córka, gotuią mu także iedną z ſwoiey ſtrony.

STAROSTA.

Niedaſzże mnie WMc. Pan pokoiu y na ieden moment?

SKARBNIK.

Już ſię kochaią! ręczę za to.

STAROSTA *znudzony.*

No, y cóż? Ja pozwalam.

Staroſta ciągnie za Scenę Skarbnika a On ſię ocią-

ociąga y gada.

SKARBNIK.

Ciesz się więc. Ustawnie nie nawidzą się y kochaią się, ustawnie kłócą się y godzą się. Za lada fraszkę, ledwie oczu sobie nie wydrą, a przy tym maią z sobą przymierze na przeciw wszystkiemu y wszystkim. Ey móy Bracie pospiesz się, oddziel ich zawczasu, Ja cię ostrzegam.

STAROSTA.

Wniydźmy tylko móy Bracie, tam z sobą pogadamy. Wniydźmy tylko Braciszku.

Koniec Aktu pierwszego.

AKT DRUGI.

SCENA I.

STAROSTA, LUDWIKA, MARYSIA, RZĄDNICKI, CHŁOP,

GAZA KUPCOWA *z swoią towarzyszką.*

JOZEF, ALBERT,

ieden ieszcze człowiek ubrany w żałobie, potrzebuiący wsparcia.]

STA-

STAROSTA *do Chłopa.*

A to waść, co chcesz podkupić, y dać więcey na Karczmę, ktòrą trzyma Bartek? kontent iestem z niego. Jest pilny. Ma dzieci... choć on mnie mniey płaci, wolę z nim, niż z kim innym mieć doczynienia. Wyidź sobie (*Marysia macha na Gazę kupcową, aby się zbliżyła*)

LUDWIKA *do Gazy cicho.*

Przynosiszże mnie co pięknego?

STAROSTA *do Rządnickiego.*

A co Panie Rządnicki, co mnie masz mówić?

GAZA *do Ludwiki.*

Obaczy Pani.

RZĄDNICKI.

Jeden Gospodarz, chociaż termin iego minął do zapłacenia długu, prosi o naznaczenie drugiego.

STAROSTA.

Czas teraz przyciężki; drożyzna na wszystko; odłóż tam na dalszy termin. W proporcyą mego majątku nie wiele stracę, choćby nie zapłacił, a onby przez to mógł zniszczeć.

RZĄDNICKI.

Kopacze, co robili w Folwarku nowym, przyszli.

STAROSTA.

Porachuy śię z niemi, y zapłać.

RZĄDNICKI.

To przeniesię całą Folwarku tego intratę.

STAROSTA.

To y cóż. Nagleysze są ich potrzeby, iak moie. Prędzey śię ia sam obeydę, niż oni (*do Córki*) Ludwiko, nie zapomniy co dla mnie wybrać.

(*Postrzega raptem Człeka tego w żałobie, porywa się do niego y mówi z cicha.*

Wybacz mdy Panie, nie dostrzegłem WMc. Pana.... interessa domowe, zaprzątnęły mnie.... zapomniałem o WMc. Panu.

(*Podczas kiedy to mówi, daie mu worek z pieniędzmi, y nim jego odprowadzi, y wròci się, druga zbliża się Scena*)

MARYSIA

A to Deseń ładny.

LUDWIKA.

Wiele za to?

GAZA *Kupcowa*.

Dziesięć Dukatow; ostatnia cena.

MARYSIA

To nie iest drogo.

(LUD-

(LUDWIKA *płaci*)

STAROSTA *powracaiąc z cicha żałośnym tonem.*

Utrzymywać Familią, żyć podług Rangi, z tak ſczupłym maiątkiem.

LUDWIKA *do Gazy.*

Co tam maſz w tym paku?

SŁUZĄCA *Kramna.*

Korunki Mci Dobrodziko. (odwiązuie pak)

LUDWIKA *żywo.*

Nie potrzebuię ich.

(*Pani Gaza, Maryſia, ſłużąca kramna wychodzą*)

RZĄDNICKI.

Pan Pieniacki w kłótni ſwoiey z Panem. o dyfferencyą możebyſię y zgodził....

STAROSTA.

Nie dam ja ſiebie pokrzywdzić. Nie będę ja poświęcał właſność dzieci moich łakomſtwu lada czyiemu. Wſzyſtko, co uczynić mogę dla moiey ſpokoyności, ieſt uſtąpić tyle, wieleby mnie ten koſztował Proceder. (*Rządnicki wychodzi.*)

STAROSTA *woła go y mówi:*

Ale, ale Panie Rządnicki, ſłyſzę ludzie z Staroſtwa mego przyſzli tu do mnie ze ſkargą na

Eko-

Ekonoma; oſtrzeż ich, że ieśli naymniey nie ſprawiedliwego co będzie, będę karał ſrogo.

(*do Józefa, który uprzątał w Sali*)

A waść nie maſz u mnie ſłużby, wiedziałeś o bezrządzie Syna mego; taiłeś, y ieſzcze przedemną kłamałeś! Ja kłamſtwa nie cierpię....

LUDWIKA.

Móy Oycze!

STAROSTA.

Oſobliwſi my ieſteśmy. Sami ich pſuiem, a potym uſkarżamyſię na ich.

(*do Józefa.*)

Barwę ci daruię, y mieſięczną płacę każe ci przydać (*do Alberta*) czyto ty ieſteś, którego mi zalecono.

ALBERT.

Tak ieſt.

STAROSTA.

Widziałeś, za com go odprawił, ſtrzeż ſię więc tego, idź ſobie y nie wpuſzczay nikogo.

SCENA II.

STAROSTA, LUDWIKA.

Y cóż Ludwiko, namyśliłaś ſię?

LUD-

LUDWIKA.

Już móy Oycze.

STAROSTA.

Cóż przedſięwzięłaś ?

LUDWIKA.

Dopełnić we wſzyſtkim wolę WMc: Pana Dobrodzieia.

STAROSTA.

Właśniem ſię tey ſpodziewał odpowiedzi,

LUDWIKA.

Jeśliby iednak wolno mnie było podług moiego upodobania ſtan wybrać ......

STAROSTA.

Jakiżbyś na òw czas wybrała .... zamilkłaś.... dokączże Ludwiko.

LUDWIKA.

Wybrałabym ſtan oſobności.

STAROSTA.

Ha, rozumiem, póyść do Zakonu?

LUDWIKA.

Tak ieſt mòy Oycze. Te tylko iedne znayduię ſchronienie ſię od przykrości, ktòre przeczuwam.

STAROSTA.

Lękaſz ſię umartwienia; pomyśl, iakiebyś mnie

przez

przez to ſprawiła. Chceſz mnie opuścić? chceſz dóm Oyca, który ſię kocha, towarzyſtwo Stryia, Brata, moie nareſzcie, zamienić na twardą niewolę? nie, córko moia, nic z tego niebędzie. Szanuię Mniſzek powołanie, ale nie w twoiey oſobie. Towarzyſkię daiąc ci przymioty przyrodzenie, nie przeznaczyło cię do nieużyteczności .... Ludwiko ty wzdychaſz? ... ha, ieśli te przedſięwzięcie z taiemney iakiey pochodzi przyczyny, niewieſz, iak ciężki los ſobie przeznaczaſz. Nię ſłyſzałeś ieſzcze płaczu y ięczenia nieſzczęśliwych, których chceſz liczbę pomnożyć, zamiaſt ſkromney cichości, żale ich przerażaią wſzyſtko, przeświadczaią każdego, że ta niewola ieſt naywiękſzą w ſwiecie. Tamto kochana Ludwiko bezuſtanne łzy leią ſię, w których rzewnych ściekach topią ſię prawie twarde ich łoża .... Proſzę cię więcey o Zakonie mi ani wſpominać .... Nię na to dałem ci życie, z potem czoła ſtarałem ſię zapewnić ci przyſzłe ſzczęście, ażebym cię żywą zagrzebł, a z tobą y moie y zwiedzionego towarzyſtwa nadzieie .... jakim żeby ſpoſobem cnotliwych ziomkow liczba w ſwoiey zoſtawała mierze, gdyby wſzyſtkie ko-

bie-

biety, warte być Matkami, Małżeństwa nie cierpiały ?

ŁUDWIKA.

Jużem ci mòy Oycze powiedziała, że wę wszystkim woli twoiey posłuszną będę.

STAROSTA.

Nigdyż mnie odtąd, proszę nie wspominay Zakonu.

ŁUDWIKA.

To iuż przynaymniey spodziewam się, że mi pozwolisz Oycze Dobrodzieiu nie odmienić stanu, na zawsze żyć z sobą y cieszyć się miłym Jego towarzystwem.

STAROSTA.

Gdybym względu nie miał iak tylko na nię, potwierdziłbym te twoie żądanie. Uważ tylko, iak ci na ów czas przykro będzie, kiedy mnie utracisz.... w każdym iestestwie, natura swoie układa zamiary; ieślibyś odważyła się oszukać onę, doświadczyłabyś z własną szkodą srogość zemsty nad sobą; męszczyzni rożne maią kary za przestępstwa; swoie; kobiety zaś dwie tylko odnoszą, ale daleko sroższe, wzgardę y tęsknotę.... stany znasz rozmaite, ale sama wyznay, czy iest

ktòry okropnieyſzy y mniey poważany, nad ſta-rey Panny? moie dziecie, iak tylko lat trzydzieście minie, przypiſuią zaraz ułomność ciała, albo du-ſzy tey, którey młodością nie dotknięty żaden, nie ſtarał ſię być z nią w parze. Jakkolwiek bądź, wiek nadchodzi, wdzięki giną, męſzczy-zni unikaią, nuda dopieka, dziwactwo górę bie-rze, a przez nie traci ſię ſpòłkowanie z krewnemi, znaiomemi nawet y z przyiaciołmi. Podeſzła w lata Panna nie odbiera, iak tylko, albo ſame oboiętności, które ią nudzą, albo wymuſzone attencye intereſſowanych oſób, które rachuią godziny, tęſkliwie wyglądaiąc, rychło dni iey dóydzie zamiar. Co czuiąc, martwić ſię musi, nie doznaiąc w zmartwieniach pociechy, umiera, radość barziey obeymuiącym własny maiątek, ni-żeli żale zoſtawuiąc po ſobie.

LUDWIKA.

Prawda mòy Oycze. Ale czyż można znaleść ſtan iaki przykrościom niepodległy, alboż mał-żeńſtwo nie ma ich także?

STAROSTA.

Ktòż może o tym lepiey wiedzieć, iak ia? codzień gruntowniey o nim mogę ſądzić. Ale

ſtan

ſtan ten ieſt do ſamey przeznaczoney natury. Jeſt to powołanie wſzyſtkich iſtności oddychaiących na ſwiecie.... Moia Còrko, kto ſpodziewa ſię ſzczęścia bez odmiany, ni życie zna ludzkie, ni wyroki Niebios nad ſobą.... Jeśli małżeńſtwo przyczynia czasem przykre utrapienia, nawzaiem za to większe ieſzcze przynoſi ſłodyczy. Jnteres nierozdzielny, iſtotna przychilność, zaufanie zupełne, pamięć nieuſtanna, ukontentowanie wzaiemne, zmartwienie podzielone, czułość na lada weſtchnienie, litość w nieſzczęściu; wſzyſtko to w małżeńſtwie doświadcza ſię, y z niego pochodzi; iako żona cnotliwemu ieſt nieoceniona, tak dziecie Oycu naymilſze nad wſzyſtko.... O związſku Szlachetny y przyiemny! kiedy myślę o tobie; nayżywſzą ſerce moie przeymuie ſię radością!... O ſłodkie Imie Syna y Córki! nigdym was bez tkliwey nie wſpomniał czułości!... Ludwiko przypomni Matki twoiey życie; czy może być co przyiemnieyſzego; nie zaprzątać ſię tylko obowiązkami Małżonki pilney łaſkawey Matki, miłoſierney Pani.... co dopełniaiąc cieſzyć ſię wewnętrznym uczuciem, że ſię nic nie zaniedbało!

LUD-

LUDWIKA.

Dobrze mój Oycze. Ale gdzież są żony takie, iak Matka moia; a mężowie, iak WMc. Pan Dobrodziey.

STAROSTA.

Znaydą się moia kochana; a potym podobny iey los od ciebie zależy.

LUDWIKA.

Gdyby to można było rządzić się zawsze własnym rozumem....

STAROSTA.

Ludwiko, rumienisz się? boisz się mówić? pozwól mi czytać w twoim czułym serduszku, dobadać się tayności, która ztłumioną dla Oyca być powinna; odważ się, nie sądzę, żebym miał utracić ufność twoią...., płaczesz?....

LUDWIKA.

Dobróć mnie twoia martwi. Nie mógłżebyś mój Oycze groźnieyszym nie co mówić ze mną tonem?

STAROSTA.

Jeszcześ nie zasłużyła na to; pewien iestem, że twoia dusza niezna umartwień wewnętrznych.

LUDWIKA.

Smiało za to ręczyć mogę.

STAROSTA.

Cóż ci więc ieſt?

LUDWIKA

Nic.

STAROSTA.

Czyż iuż y ty chceſz mnie oſzukiwać?

LUDWIKA.

Przeięta ieſtem łagodnością twoią.... Chciałabym iey odpowiedzieć równie....

STAROSTA.

Ludwiko, przyznay ſię, może ſię ci który nad wſzyſtkich innych naylepiey podobał? możeś go kochała?

LUDWIKA.

Na ów czas bym ſzczerze nieſzczęśliwą była.

STAROSTA.

Przyznay ſię moie dziecie, proſzę cię. Jeśli mi ſurowości nie przyznaieſz, ſekret przedemną nie ieſt ci potrzebnym. Nie ieſteś iuż dzieckiem. Jakżebym mógł naganić czułość w tobie, ieślim ſam ią utworzył w ſercu Matki twoiey. Ty co iey mieyſce w domu moim zaſtępuieſz, naśladuy

ią

ią w poufałości, którą do tego miała, który y życie dał iey, y los iey z moim na zawſze ſpoił, y ſzczęście utwierdził.... Ludwiko! ty milczysz na to?

LUDWIKA.

Los brata mego, trudzi mnie.

STAROSTA.

Brat twóy ieſt głupi.

LUDWIKA.

Możeby ci ſię czasem nie podoba.....

STAROSTA.

Nie lękam ſię ſmutku z przyczyny ciebie. Roſtropność twoia znana mi ieſt, y nie czekam, tylko wyznania wyboru, abym go potwierdził.

LUDWIKA. (*milczy Staroſta, zatrzymał ſię z moment, a potym mówi tonem rozgniewanym y rozżalonym*)

Byłoby mnie miło dowiedzieć ſię o twoiey ſkłonności przez ciebie ſamą, wreſzcie iakimkolwiek ſpoſobem uwiadomienie powzięte cieſzyłoby mnie. Bądź przez wuia twego, bądź przez brata, Eraſta; co mnie tam obchodzi przez kogo,... Eraſt ieſt wſzyſtkich nas przyiacielem... Jeſt Człowiek poczciwy y uformowany... Jeſtem

w nim zaufanym.... A przez to ſamo ſtaie ſię godnym twoiey poufałości....

LUDWIKA.

Y ia tak rozumiem.

STAROSTA.

Wielem mu winien. Czas iuż wypłacić ſię iemu.

LUDWIKA.

Nie potrafią nigdy dzieci twoie ograniczyć ni twoią powagę, ni wdzięczność.... do tych czas miał on ciebie za Oyca, a tyś go za ulubione dziecie.

STAROSTA.

Nie mogłabyś wymyślić iaki ſpoſòb nadgrody dla niego?

LUDWIKA.

Mnie ſię zdaie, naylepiey będzie iego ſię ſamego w tym poradzić... może ma iakie myśli... intereſſa.... może.... Co ia mam wiedzieć.

STAROSTA.

Skarbnik còś mi powiedział....

LUDWIKA *z żywością.*

Niewiem, co on Jegomości mòwił; ale przecie znaſz iego mòy Oycze. Proſzę cię niechciey

nic

nic mu wierzyć.

STAROSTA.

To iuż do ſamey śmierci dzieci moich ſzczęścia oglądać nie będę.... Ludwiko!.. o okrutne dzieci, cóżem wam zrobił, abyście mnie tak męczyli?... Córki poufałość utraciłem, Syn zaś zabrnął w więzy, które potwierdzić nie można, y które zerwać muſzę....

SCENA III.

ALBERT.

Dwie iakieś kobiety z Panem chcą mówić.

STAROSTA.

Niech wniydą (*Ludwika chce odeyść, Staroſta z żałością woła ią*) Ludwiko!

LUDWIKA.

Móy Oycze!

STAROSTA.

Nie kochaſz mnie iuż.

(*Kobiety oznaymione wchodzą, Ludwika wychodzi ocieraiąc oczy*)

SCE-

SCENA IV.

STAROSTA, ZOFIA, PANI POCZCIWSKA.

STAROSTA (*postrzegłszy Zofią, mówi tonem zdziwionym y smutnym*)

Nie oszukał mnie. Co za wdzięki! co za skromność! co za łagodność! ..... Ah!

POCZCIWSKA.

Stawamy na rozkaz WMc. Pana Dobrodzieia.

STAROSTA.

WMc. Panna zowiesz się Zofią?

ZOFIA *drżąca y zmieszana*.

Tak iest Mci Dobrodzieiu.

STAROSTA *do Poczciwskiey*.

Mcia Pani. Mam cóś mówić z JMc Panną. Mówiono mi o niey. Y mnie interessuie.

(Poczciwska oddala się)

Zofia zalękniona y zmieszana niechce ią puścić; Mcia Pani.

STAROSTA.

Nie trwóż się moie dziecie. Nic ci nie powiem, coby cię mogło zmartwić.

ZOFIA.

Ah!

(*Poczciwska ma usiąść pośrzodku sali, dobywa*

z kieſzeni roboty, y wyſzywa.)

STAROSTA *wiedzie Zofią do krzeſła, y każe iey przy ſobie uſiąść,*

Z iakiego kraiu Wc Panna?

ZOFIA.

Przybyłam z Miaſteczka Litewſkiego.

STAROSTA.

Długoż iuż Wc Panna w Warſzawie ſiedziſz?

ZOFIA.

Nie barzo długo; wolałabym y nie znać jey.

STAROSTA.

Cóż tu robiſz?

ZOFIA.

Robię roboty, abym ſpoſób miała do życia.

STAROSTA,

Jeſzcze Wc Panna młoda ieſteś.

ZOFIA.

Tymci gorzey, bo dłużey będę muſiała cierpieć.

STAROSTA.

Maſzże Wc Panna Oyca?

ZOFIA.

Nie mam go.

STAROSTA.

A Matkę?

ZO-

ZOFIA.

Zostawiły mnie ią Nieba. Ale cóż, tyle ma zgryzot, zdrowie słabe, a nędza w naywiększym stopniu.

STAROSTA.

To Wc Panny Matka iest ubogą?

ZOFIA.

Y barzo. Mimo to wszystko, ią nad wszystko przekładam, kocham, szanuię y cieszę się, że jey Córką iestem, nie zaś ktòrey inney.

STAROSTA.

Ten sentyment wart pochwały; zdaiesz się mi godnie być urodzoną .... Czym był Wc Panny Oyciec?

ZOFIA.

Móy Oyciec miał się dobrze. Nie widział on żadnego nędznego bez uczucia, y dania mu pomocy. Przyiaciòł swoich w przygodach ratował, y tym się zniszczył. Miał dość wiele z Matki moiey dzieci; y wszystkich nas zostawił bez sposobu .... byłam przy jego śmierci, ale na ówczas dzieckiem ieszcze .... ledwie pamiętać jego mogę .... wzięła mnie Matka moia, wzniosła do jego, aby mnie ucałował, y ostatnie oddał bło-

gośławieństwo .... Płakałam ; samo mnie przyrodzenie łzy wyciskało, bo nie mogłam ieszcze znać w ten czas, co utracałam.

STAROSTA.

Przenika mnie! ... y cóż cię przywiodło do opuszczenia krewnych twoich?

ZOFIA.

Przybyłam tu z iednym z Braci moich, prosić krewnego moiego, ktòry tu rezyduie; aby chciał dać iaką pomoc; ale on y nazbyt pokazał się nieczułym dla nas. Widział mnie w domu Rodzicow. Pokazywał się być na mnie łaskawym, y przeto Matka moia mnie do jego wysłała, spodziewaiąc się, że nie odmówi wsparcia iakiegokolwiek. Ale on zamknął drzwi przed nosem Brata moiego, a mnie powiedzieć kazał, żebym się do niego zbliżać nie ważyła.

STAROSTA.

Cóż się stało z Bratem Wc Panny?

ZOFIA

Zawerbował się do Wóyska. A ia zostałam się z osobą, którą Wc Pan widzisz, y ktòra krząta się koło mnie, iakby koło własnego dziecięcia.

STA-

STAROSTA.

To ona ieſt tak miłoſierną?

ZOFIA.

Dzieli ſię ze mną pracy ſwoiey zyſkiem.

STAROSTA.

A tenże krewny Wc. Panny nie odezwał ſię więcey?

ZOFIA.

Y owſzem przyſłał mi cokolwiek. Ale to matce moiey na nic ſię nie zda.

STAROSTA.

Matka Wc. Panny, iuż zapomniała o niey?

ZOFIA.

Matka moia ledwie doſtała na drogę dla mnie. Nieſtety! więcey ſię z tey podróży ſpodziewała. Jnaczey, mogłażby ſię ſkłonić, by mię od ſiebie oddaliła, teraz zaś nie ma ſpoſobu ſprowadzić mnie do ſiebie. Piſała do mnie, mam z kimś zabrać wkrótce y powrócić do niey. Chybaby ſię kto z miłoſierdzia podiął. Ha, ieſteśmy prawdziwie nieſzczęśliwe!

STAROSTA.

Nikt tu iey nie dopomaga?

ZOFIA.

Nikt.

STAROSTA.

To WMc. Panna z właſney żyiesz pracy?

ZOFIA.

Z właſney.

STAROSTA

Y WMc. Państwo żyiecie ſame?

ZOFIA.

Same.

STAROSTA.

Co to za młody Chłopiec, o którym mi mówiono, zowie ſię Biedulſki, mieſzka przy was?

PANI POCZCIWSKA *porywa ſię z żywością.*

A to Mci. Dobr; Chłopiec barzo poczciwy.

ZOFIA.

Jeſt to człowiek ubogi, który zarabia chleb, iak my, y który nędzę ſwoią złączył z naſzą.

STAROSTA.

Y więcey nic o nim niewiecie.

ZOFIA.

Nic więcey.

STAROSTA.

O tóż tedy Mcia Panno, ten nieſzczęśliwy....

ZO-

ZOFIA.

WMc. Pan Dobr: znasz iego?

STAROSTA.

Jakże go znać nie mam?... wſzak to móy Syn.

ZOFIA.

WMc. Pana Syn!

POCZCIWSKA *razem*.

Biedulſki!

STAROSTA.

Nie inaczey tak Mcia Panno.

ZOFIA.

Ah Antoni uwiodłeś mnie!

STAROSTA.

Poznayże cnotliwa Damo niebeſpieczeńſtwo, które ci groziło.

ZOFIA.

Biedulſki Synem WMc. Pana!

STAROSTA.

On cię ſzanuie, kocha; ale zbytnio-ſilna miłość Jego, oboie was nieſzczęśliwemi zrobiłaby, ieślibyś ią podſycała.

ZOFIA.

Y na toż do tego przybyłam miaſta, abym była młodego chłopca podeyściem zawſtydzona! móy

to

to ieſt błąd, bom nie ſłuchała ſerca, kiedy mi z tąd iak nayrychley wyieżdzać kazało.

STAROSTA.

Jeſt czas ieſzcze. Trzeba ſtarać ſię pozyſkać matkę, która cię wzywa, y którey bytność WMc. Panny tyſiąc tworzyć muſi nieſpokoyności. Zofio chcesz tego?

ZOFIA.

Ah matko moia! co ia ci powiem?

STAROSTA *do Pani Poczciwſkiey.*

Odprowadź ią WMc. Pani, będę ſię ſtarał, żeby fatyga ich do mnie nadgrodzoną była.

(*do Zofij*)

Ale Zofio, ieśli cię matce twoiey powracam, powròć mi nawzaiem Syna mego. Ty ieſteś w ſtanie teraz, wrazić pragnienie oddawania Rodzicom, co ſię im winno; wiesz to ſama barzo doſkonale.

ZOFIA.

Ah Antoni! y na cóż....

STAROSTA.

Choćby on ci przekładał zapędow ſwoich iak nayuczciwſze zamiary, zawſtydź go. Oznaymiſz mu o ſwoim wyiezdzie, każąc mu założyć

tamę

tamę y moim żalom, y całey Familij zamieſzaniu,

ZOFIA.

Mcia Pani....

POCZCIWSKA.

Moie dziecie.....

ZOFIA *wſparta na niey.*

Ah iuż umrę!....

POCZCIWSKA.

Mci Dobrodzieiu, idziemy do ſiebie, tam będziem czekać iego rozkazow.

ZOFIA.

Biedny Antoni! Nieſzczęśliwa Zofio!

SCENA V.

STAROSTA *ſam.*

O dziwaczne świata ułożenie! o okrutny przeſądzie! Już y tak mało ieſt kobiet dla człeka myślącego dobrze. Y na cóż ieſzcze ich wybior zmnieyſzać!... Ale Syn móy nadeydzie wkrótce.... Przytłumiać trzeba w ſercu wzmagaiące ſię wrażenie, które te dziecie utworzyło wemnie.. Przekładać mu będę, co mnie winien, co ſobie ſamemu winien; a tym ſpoſobem wſpólnie zgodziemy ſię.

SCE-

SCENA VI.

STAROSTA, JAN.

JAN (*wchodzi z żywością*)

Móy Oycze!

(STAROSTA *przechadza ſię y nic nie odpowiada*)

Mòy Oycze!

STAROSTA *z ſurową miną.*

Janie; ieśliś z zapędow ſwoich nie ochłonął ieſzcze; ieśli twóy rozum ieſzcze zaślepiony, nie chciey powiękſzać y właſne przewinienia y moią żałość.

JAN.

Jużem nią ieſt przeniknióny. Zbliżam ſię do cię lękliwie.... Przyrzekam ci, że będę ſpokoynym y uważnym.... Tak będę iuż.... iużem to ſobie obiecał.

(STAROSTA *przechadza ſię nic nie mówiąc.*)

JAN *zbliża ſię z boiaźnią y tonem mòwi lękliwym:*

Widziałeś ią móy Oycze!

STAROSTA.

Tak ieſt, widziałem. Jeſt piękną y dość ro-

zumną. Ale na cóż ci się zda ona? do zabawy? nie zniosę tego. Na żonę? nie przystoi tobie.

JAN *wstrzymuiąc się*.

Jest piękną, rozumną, a mnie nie przystoi! ktòraż insza więcey iest nad nią warta?

STAROSTA.

Która przez swoie wychowanie,' urodzenie, stan y maiątek może ci twoie szczęście zabespieczyć; moie uskuteeznić nadzieie.

JAN.

To iuż ożenienie moje na samym interessie y wyniosłości zalega, móy Oycze iednego masz tylo we mnie Syna, niechciey go' poświęcać chimerze, która naywięcey Małżonkow nieszczęśliwemi czyni. Pragnę Towarzyszki cnotliwey y czułey, którаby tłumiła skłonności moie, nauczyłą cierpieć y przez co stałbym się mniey tkliwym na wszystkie przygody, nie zaś tey, która prócz bogactw y urodzenia nie maiąc przymiotow inszych, zwiększyłaby ieszcze światowe przykrośći. Ah mòy Oycze, życie mi raczey odbierz, a nie poświęcay mię podobney kobiecie.

STAROSTA.

Wszakże ci nie wyznaczam żadney, ale nie

znio-

zniosę, abyś się z tą złączył, do którey się ślepo przywiązałeś, y którey miłości wstydzić się powinieneś. Mógłbym nad tobą użyć mego prawa, y powiedzieć ci, Janie; to mi się nie podoba, nie może być żebyś mnie więcey ani myślał o tym. Alem nic dotąd z ciebie nie wyciągał ieszcze, bez dania ci przyczyny. Chciałem, abyś zgodził się ze mną, będąc mnie posłusznym, a ia nawzaiem czułym ile możności na twe byłbym nalegania. Uskrom się y słuchay mnie. Móy Synu, dwadzieścia lat temu, iakem cię skrapiał łzami moiemi, któreś sprawił naypierwszy raz w życiu moim. Rozrzewniło się serce moie, widząc w tobie przyiaciela, którego natura mnie udzieliła. Wziąłem cię z łona matki twoiey, y wzniosłszy ku niebu tem wyrzekł słowa: Boże! ktòryś mi dał te dziecie ieśli zaniedbam starania y obowiązkow, ktòre dziś na mnie wkładasz, albo one im odpowiadać nie ma, nie uważay na matki iego radość; odbierz mi ie zaraz. Takem ślubował za ciebie y za mnie. Zawsze to mi przytomno było. Nie poleciłem cię niczyiemu dozorowi. Samem cię uczył mówić, czuć, myślić. Z wzrostem

ſtem lat twoich, ſtarałem ſię zmnieyſzać ſkłonności, według ich formowałem ciebie. Tak wielem zadał ſobie przykrości, ażebym ciebie ocalił od nich. Miarkowałem przyſzły los twóy podług przymiotow twoich. Słowem nic nie zaniedbałem, abyś ſię od innych różnił. Kiedy iuż zbierać pragnę pracy moiey owoce; kiedy cieſzę ſię, że mam Syna, który urodzeniu ſwemu odpowiada, które mu lepſze przeznacza partye, y właſnym przymiotom, które go do dzieł znakomitych czynią zdatnym; podła namiętność czyli raczey dziwaczne założenie ma zniſzczyć wſzyſtko, y ja miałbym widzieć młodość twoią nikczemnie ſtraconą, ſtan twòy omieſzkany, nadzieię moią omyloną!.... Ja mam na to zezwolic? czyż mogłeś to ſobie obiecywać?

JAN.

O Nieba, iakem nieſzczęśliwy!

STAROSTA.

Maſz Stryia, który cię kocha, y który ci zoſtawuie znaczne bogactwa; Oyca, który ci całe poświęcił życie, y który ſzuka ſpoſobow we wſzyſtkim pokazania ci ſwoią życzliwość; maſz imie, maſz krewnych, przyiacioł, naypodchle-

bniey-

bnieyſze nadzieie y ſprawiedliwe; a nieſzczęśliwym zwieſz ſię? czegoż ci ieſzcze potrzeba?

JAN.

Zofij, Zofij ſerduſzka! y zezwolenia Oyc .w-ſkiego.

STAROSTA.

Jak śmieſz tego wyciągać po mnie? abym głupſtwo twoie potwierdził, a przez to ſtał ſię . odnym powſzechney wzgardy. Piękny byłby y d a dzieci y Rodzicow przykład. Ja zezwolić miałbym przez nieſłychaną ſłabość na bezrząd towarzyſtwa, krwi y urodzenia pomieſzanie, Familji znikczemnienie!

JAN.

Ah iakem ja nieſzczęśliwy! ieśli mieć nie będę tey, co kocham, przymuſzon będę złączyć ſię z tą, do ktorey nie zdołam żadney czuć ſkłonności; bo zadney inſzey, prócz Zofij kochać nie mogę. Będę ią uſtawnie porównywał z tamtą. Tamta nieſzczęśliwą będzie, ia także; będziesz to Oycze widział, a czuiąc niedolę moią, y ſam ſiebie nieſzczęśliwym uznaſz.

STAROSTA.

Będę ſtrzegł obowiązkow moich, a nieſzczę-

ście

ście tobie, ieśli zaniedbaſz ſwoie.

JAN.

Móy Oycze! niechciey mi Zofij odbierać.

STAROSTA.

Przeſtańże mnie o nią prośić?

JAN.

Po tyſiąc razy mówiłeś mi Oycze, że cnotliwa Zona ieſt naywiękſzym Niebios darem; znalazłem ią, a teraz ſam chceſz mi ią odebrać. Móy Oycze, nie odbieray mi ią. Teraz iuż, kiedy wie, kto ieſtem, czegoż ſię pomnie ſpodziewać nie może? czyliż Czulſki ma być mniey wſpaniałym, niżli był Antoni? Nie odbieray mi ią. Ona to ieſt, co zbłąkaną do ſerca zwróciła cnotę. Ona ieſt tylko iedna, która w nim ią utwierdzić zdoła.

STAROSTA.

To ſię znaczy; że iey przykład uczynił więcey w tobie wrażenia, niżli móy.

JAN.

Jeſteś Oycem moim, rozkazuieſz mnie. Ona mą żoną będzie; a to iuż inſza władza.

STAROSTA.

O iak wielka rożnica między Amantem, a Mężem

żem między kochanką; a Zoną! Człeku bez doświadczenia, nie możesz znać tego.

JAN.

Pragnę na zawsze nie wiedzieć.

STAROSTA.

Ktòryż iest Amant, któryby inaczey mówił?

JAN.

Widziałeś Zofią.... Jeżelibym porzucił ią dla Rangi, godności, omylnych nadziei, lub dziwacznych przesądow, nie byłem godzien ią poznać. Mòy Oycze, czyżbyś iuż tak podle myślał o swym Synie, abyś miał temu uwierzyć?

STAROSTA.

Nie upodliła się ona ustępuiąc twoiemu zapałowi. Naśladuy więc ią.

JAN.

Miałbym się upodlić małżonkiem iey zostaiąc?

STAROSTA.

Pytay się ludzi.

JAN.

W rzeczach oboiętnych słuchać będę dziwactw świata; ale gdzie idzie o los życia całego, o towarzyszki wybior.....

STAROSTA.

Nie odmienisz ułożeń iego. Więc się trzeba z nimi zgadzać.

JAN.

Czasemby wszystko zniszczyli; zepsuli; naturę samą pod swoie podbili iarżmo; y iabym się do tego przypisał?

STAROSTA.

Jnaczey; będziesz wzgardzonym.

JAN.

Unikałbym ich.

STAROSTA.

Wzgarda ich wszędzie trudziłaby cię, a żona dziwacznym twoim zaślepieniem wciągniona niebyłaby mniey nędzną od ciebie..... wszakże ią kochasz?

JAN.

Jeśli ią kocham!

STAROSTA.

Słuchay, a lękay się losu, który iey gotuiesz. Nadszedłby ten czas, gdziebyś czuć zaczął wszystkie offiary uczynione dla niey. Żyłbyś z nią sam ieden bez godności, majątku y w wzgardzie, z tąd powziełaby się nuda z smutkiem spoiona.

Nienawidzieć zaczniesz ią, zaczniesz wymawiać iey. Łagodność iey y cierpliwość barziey doiadać będą, ieszcze ią barziey nienawidzieć będziesz; nienawidzieć będziesz dzieci z niey powzięte, y przywiedziesz ią o śmierć ustawicznemi umartwieniami.

JAN.

Ja!

STAROSTA.

Waść.

JAN.

Nigdy, nigdy zapewne.

STAROSTA.

Namiętność wszystko wiecznym wyobraża, ale przyrodzenie wszystkiemu koniec zaznacza.

JAN.

Jabym przestał kochać Zofią? gdybym to uczynić potrafił, niebyłbym pewnym ieśli ciebie móy Oycze kocham.

STAROSTA.

Jeżeli chcesz y siebie y mnie przeświadczyć o tym, uczyń, o coć proszę.

JAN.

Daremniebym pragnął tego. Nie zdołam.

Jużem ieſt zaślepiony. Mòy Oycze, niezdołam!

STAROSTA.

Bezrozumny! chceſz być Oycem? wieſzże iego powinności? a ieśli ie wieſz, wyznay ſam; ieślibyś dozwolił tego właſnemu Synowi, czego odemnie żądaſz?

JAN.

Ah! gdybym mógł odpowiedzieć.

STAROSTA.

Mòw, odpowiaday.

JAN.

Pozwalaſz mi móy Oycze?

STAROSTA.

Przykazuię.

JAN.

Kiedyś ſam chciał Matki moiey; kiedy cała Familia zburzyła ſię na ciebie; kiedy Dziad móy nazywał ciebie dzieckiem niewdzięcznym; a ty móy Oycze, zwałeś go Oycem okrutnym; który na ów czas miał z Wc Pańſtwa ſłuſzność? Matka moia była tak piękną y cnotliwą iak Zofia, była ona równie ubogą iak Zofia; kochałeś ią równie, iak ia teraz Zofią. Znioſłżebyś móy Oycze, gdyby ci ią wydarto? a nie mamże ia ſerca także!

STAROSTA.

Byłem maiętnym z ſiebie, a Matka twoia była z dobrey Familji.

JAN.

Y ktoż może wiedzieć, czym ieſt Zofia?

STAROSTA.

Dziwactwo.

JAN.

Maiątek, miłość, ubóſtwo maiątkiem moim będzie.

STAROSTA.

Lękay ſięż tego! które ciebie czeka.

JAN.

Nie mieć iey; ieſt iedyne, ktòrego ſię boię.

STAROSTA.

Lękay ſię łaſki mey utraty.

JAN.

Pozyſkam ią.

STAROSTA.

Kto cię o tym zapewnił?

JAN.

Widźieć będzieſz łzy Zofii; padnę ci do nòg, dzieci moie wyciągną do cię rączki niewinne, nie odepchnieſz ich!

STA-

STAROSTA.

Zna mnie nadto dobrze . . . . . (*po krótkiey chwili, bierze ton nayfróżfzy y mówi*)

Móy Synie ; miarkuię, że mówię ci na próżno; żeś się wybił z pod rozumu władzy, y że będę muſiał użyć ſpoſobu, którego się wyſtrzegałem dotąd. Użyię go, bo iuż mię do tego przymuſzaſz. Porzuć te ſwoie przedsięwzięcie. Chcę tego, y przykazuię ci mocą y powagą, którą Rodzice maią nad dziećmi ſwoiemi.

JAN *zapędzony*.

Powaga, powaga! nie maią oni, tylko te słowo

STAROSTA.

Szanuy ją.

Jan (*odchodząc, y przychodząc*)

Otóż to wſzyſcy ſą tacy. Jak to oni nas kochaią. Gdyby nieprzyiaciołami byli naſzemi, cóżby ſrożſzego uczynić mogli?

STAROSTA.

Co mòwiſz? co tam mruczyſz?

JAN.

Czynią się doſkonałemi, bo inſze maią ſkłonności, iak my.

STA-

STAROSTA.

Milcz.

JAN.

Nie dali nam życia, tylko, aby onym rozrządzali.

STAROSTA.

Nie będzieſz milczał?

JAN.

Zaprawiaią onę umartwieniami, iakimże ſpoſobem przykrości naſze czuć mogą?

STAROSTA.

Janie, zapominaſz kto ja ieſtem, y z kim mówiſz? milcz mi zaraz, albo lękay ſię nayokropnieyſzego wyroku zapędzonych Oycow.

JAN.

Oycow, Oycow! nie maſz iuz ich.... nie maſz.... ſami tylko Tyrani.

STAROSTA.

O Nieba!

JAN.

Tak ieſt, Tyrani.

STAROSTA.

Oddal ſię odemnie, Synie wyrodny y niewdzięczny! przeklinam cię! oddal ſię odemnie!

(Syn

(Syn odchodzi, ale ledwie kilka uczynił kroków, Oyciec bieży za nim y mówi)

Nieszczęsny! gdzie idziesz?

JAN.

Móy Oycze!

(Starosta rzuca się na krzesło, Jan pada mu do nóg)

STAROSTA.

Ja twoim Oycem? ty synem moim? nie iestem iuż ci niczym. Zycie me truiesz. Smierci mey żądasz. Y na cóż ona zatrzymana dotąd? czemum iuż nie iest obok matki twoiey? nie masz iey; a nędzne dni moie ciągną się do tych czas!

JAN.

Móy Oycze!

STAROSTA

Oddal się odemnie. Nie pokazuy mi łzy swoie. Szarpiesz serce, z którego cię wygnać nie zdołam.

SCENA VII.

STAROSTA, SKARBNIK, JAN.

(Skarbnik wchodzi, Jan porywa się, a Starosta iak był na krześle z schyloną głową, iak człowiek zmartwiony)

(Skar-

(Skarbnik (pokazuiąc Oyca Janowi, który nie słucha y przechadza się)

Otóż masz; patrzay, iak iego martwisz. Jużem mu przepowiedział, że ty iego zamorzysz szaleństwem swoim, y to się zyści.

(Kiedy Skarbnik mówi, Starosta porywa się y odchodzi, Jan chce także)

STAROSTA *do Jana*,

Gdzie idziesz? słuchay Stryia swoiego. Przykazuię ci.

SCENA VIII.

SKARBNIK, JAN.

JAN.

Gaday więc WcPan, słucham .... ieśli to iest nieszczęście, kochać się; iuż się zdarzyło, y niewiem na nie iekarstwa ..... ieżeli mi iey nie dozwalaią, niech nauczą zapomnieć ....., zapomnieć ią? ia? iabym potrafił? iabym chciał? niechay przeklęctwo Oyca mego dopełni się na mnie, ieżeli pomyślę o tym kiedy.

SKARBNIK.

Czegoż chcą od ciebie? żebyś porzucił osobę, którąbyś nie powinien widzieć, tylko przechodząc;

dząc; ubogą, nie znaiomą bez krewnych, która diabeł wie zkąd przyszła, do kogo należy, y która żyć nie ma z czego. Podobne dziewczyny! to tylko głupcy tracą się dla nich; ale żenić się! żenić się!

JAN *z żywością.*

Mos Panie Skarbniku.

SKARBNIK.

Podoba ci się ona. Dobrze, weź ią sobie. A mnie to, co obchodzi; czy tę czy drugą weźmiesz? ale będziem widzieli koniec tego.

(JAN *chce wyiść*)

Gdzie idziesz?

JAN.

Do siebie.

SKARBNIK (*zatrzymuiąc go*)

A zapomniałeś, że ci mówię imieniem Oyca twoiego.

JAN.

No gadayże WcPan, gaday. Martw mnie; rospaczay. Ja zawsze iedno odpowiadać będę. Zofia żoną moią będzie.

SKARBNIK.

Twoią żoną!

JAN.

JAN.

Tak ieſt. Zoną moią.

SKARBNIK.

Podła dziewczyna!

JAN.

Która mię nauczyła pogardzać tym wſzyſtkim, co was otacza y nikczemni.

SKARBNIK.

Nie maſzże wſtydu!

JAN.

Wſtydu?

SKARBNIK.

Waść będąc Synem Pana Czulſkiego, a moim Sieſtrzanem?

JAN.

Ja, Syn Pana Czulſkiego, a Wc Pana Sieſtrzan.

SKARBNIK.

Otóż to ſkutek edukacyi przecudowney, z któ-rey ſię tak barzo Oyciec twóy chełpił. O tóż to przykład wſzyſtkiey młodzieży Polſkiey . . . ale ty może rozumieſz ſię bogatym?

JAN.

Nie.

SKAR-

SKARBNIK

Wieſz ty, co ci przyidzie z Matki twoiey polagu?

JAN.

Nigdym o tym nie myślał, y wiedzieć nie chcę

SKARBNIK.

Słuchay. Była to naymłodſza z nas wſzyſtkich ſześciu, y to w kraiu, gdzie nic nie daią. Twóy Oyciec, który nie więcey na ów czas miał rozumu od ciebie, tak ſię uparł, właśnie iak ty teraz; y ożenił ſię. Tyſiąc złotych intraty podzielić na Was dwoie; to przyidzie na część twoią pięćſet złotych; y to cała twoia ſubſtancya.

JAN.

Ja mam pięćſet złotych intraty?

SKARBNIK.

Już to naywięcey.

JAN.

Ah Zofio, nie będzieſzże pod dachem mieſzkać nie będzieſz żyć w nędzy. Ja mam pięcſet złotych intraty!

SKARBNIK.

Ale ty mieć możeſz dwadzieście pięć tyſięcy z twego Oyca; a dwa razy tyle ze mnie. Janie, robią głupſtwa, ale nie tak wielkie.

JAN.

JAN.

Co mnie po bogactwach, ieśli ie nie dzielę z tą, ktòra serca mego Panią.

SKARBNIK.

Głupcze!

JAN.

Wiem o tym. Tak to zowią tych, ktòrzy przekładaią nad wszystko kobietę młodą, cnotliwą, y piękną; ale ia mieć sobie będę za honor, być na czele ich.

SKARBNIK.

Lecisz na twoie nieszczęście!

JAN.

Jadłem chleb suchy y wodę piłem przy niey, a byłem szczęśliwym.

SKARBNIK.

Lecisz na twoie nieszczęście!

JAN.

Mam 500. złotych intraty.

SKARBNIK.

Cóż będziesz z nimi robić?

JAN.

Będzie mieszkała pięknie, karmiona, stroiona; y żyć sobie będziem.

SKAR-

SKARBNIK.

Jak Charłacy.

JAN.

Cóż robić?

SKARBNIK.

Będzieſz miał dzieci, ludzi do poſługi; słowem, całe goſpodarſtwo z nią obeymieſz.

JAN.

Wſzyſtko to fraſzka.

SKARBNIK.

Nic teraz ieſzcze, ale iak będzieſz miał Dzieci!

JAN.

Na ów czas udam ſię do oſób czułych. Będą mnie widzieć. Będą widzieć nieſzczęścia mego Towarzyſzkę. Oświadczę ſię ktom ieſt, y znaydę pomoc.

SKARBNIK.

Znaſz widzę świat diabelnie!

JAN.

To iuż żadnego poczciwego niemaſz?

SKARBNIK.

Mało ich barzo.

JAN.

Jak kolwiek bądź; dwie mnie rzeczy utrzymywać

wać będą; miłość. ktòra przedsięwziąć każe!, y śmiałość, ktòra znaszać umie.... Nie byłoby tyle na świecie płaczu; tylko że nędzny ieſt bez odwagi.... Bogaty ludzkości nie czuie

SKARBNIK.

Rozumiem.... Mieyże ſobie twoią Zofią. Przeciw ſię Oyca twego woli, potłum przyſtoyności Prawo, oſzpeć Familią.... Niſzcz ſię. Rob ſobie, co chceſz. Już ci ſię nie ſprzeciwiam. Będzieſz ſłużył za przykład wſzyſtkim młodym, ktòrzy rozumu nie ſłuchaią, ktòrzy czynią bezczelne związki, ktòrzy Rodzicow martwią, y ktòrzy całą upodlaią Familią. Miey ſobie ſwoią Zofią kiedyś ſię naparł; ale ią głodem będzieſz morzyć, y dzieci ſwoie, o ktorych ni wiedzieć niechcę.

JAN.

Naybarziey WMc. Panu idzie o to, żebyś nie był przymuſzon co udzielić.

SKARBNIK.

Nie ieſtemże ia nieſzczęśliwym?... Zbierałem maiątek z ſkrzętnością przez lat czterdzieści. Mògłbym ſię ożenić, odiąłem ſobie te ukontentowanie. Przywiązałem ſię ślepo do nich, zapomnia-

mniałem o drugich. O toż iestem teraz nadgrodzony! Co to teraz mówić będą... Nigdzie się pokazać niemożna.... Wolałbym, żebyś gdzie poległ od Turkow albo Tatarow podczas woyny Przynaymnieyby żałowali ciebie, y nierobiłbyś wstydu Familij .... Nic, to niesłychana, aby gdzie był ślub taki.

JAN.

To będzie pierwszy:

SKARBNIK.

Y ia to zniosę?

JAN.

Jeśli łaska.

SKARBNIK.

Y ty tak myślisz?

JAN.

Bez wątpienia.

SKARBNIK.

Obaczym.

JAN.

Obaczym.

SCENA IX.

JAN, ZOFIA, POCZCIWSKA.

(*Nim skończy Jan, zbliżaią się y mówią w srzodku Teatrum między sobą*)

JAN (*pomyśliwszy przechadzaiąc mówi*)

Tak, obaczym.... oni się sprzysięgli na mnie... iuż to Ja widzę....

ZOFIA (*żałośnie*)

Jdźmy iuż.... kiedy oni chcą tego.

JAN.

Pierwszy raz widzę, że móy Oyciec zgadza się z tym dziwakiem.

ZOFIA, (*wzdychaiąc*)

Ah co za moment!

Pani POCZCIWSKA.

Prawda moie dziecie.

ZOFIA.

Całam iest zmieszana.

JAN.

Nie traćmy czasu.... Trzeba ią znaleść.

ZOFIA.

Otoż y on. Moia Pani. On tu iest.

JAN.

Tak Zofia, ia to ieſtem. Ja ieſtem Antoni.

ZOFIA (*łkaiąc*)

Nie, nie ieſteś im... (*Obraca ſię do Pani Poczciwſkiey*) O iakem ia nieſzęśliwa! Chciałabym iuż umrzeć. Mcia Pani! do czegom ſię ia obowiązała? Piękną mu powiem nowinę. Co ſię z nim ſtanie? Zmiłuy ſię, mòw mu za mnie.

JAN.

Zofio, czego ſię lękaſz? Biedulſki cię kochał, Czulſki cię ſzacuie; y widziſz człowieka rzetelnego, przywiązanego Amanta.

ZOFIA (*wzdycha*)

Nieſtety!

JAN.

Bądź pewną, że Antoni nie może żyć, niechce żyć, tylko dla ciebie.

ZOFIA.

Wierzę; ale na cóż ſię to zda.

JAN.

Słowo tylko wymów.

ZOFIA.

Jakie ſłowo?

JAN.

Ze mnie kochaſz. Zofio! czy kochaſz mię?

ZOFIA (*wzdychaiąc*)

Ha, gdybym cię nie kochała!

JAN.

Dayże mi rączkę ſwoią. Przyimi moią wraz z przyſięgą, którą czynię, za wezwaniem Nieba na świadectwo; y w przytomności tey cnotliwey kobiety, która nam była za Matkę, że ſię oddaię tobie na całe życie.

ZOFIA.

Nieſtety! wiesz Wc. Pan, że Dama dobrze urodzona, ani czyni, ani przyimuie przyſięgi, tylko przy Ołtarzu.... A tam nie mnie powiedziesz.... Ah Antoni! Teraz dopioro czuię nierówność, która nas oddziela.

JAN (*z żywością*)

Zofio, y ty także?

ZOFIA.

Opuść mnie przeznaczeniu moiemu, a powróć ſpokoyność Oycu, kròry cię kocha.

JAN.

Nie ty to mówiſz. To On. Poznaię w tych ſłowach okrutnika tego.

ZO-

ZOFIA

Nie ieſt On okrutnym. On kocha ciebie.

JAN.

Przeklął mnie. Wypędził. Nie doſtawało tylko, zbuntować ciebie do wydarcia mi życia.

ZOFIA.

Zyi Antoni.

JAN.

Przyſiąż mi, że mimo wſzyſtko będzieſz moią.

ZOFIA.

Ja Antosiu! miałabym Oycu wyrwać Syna!... Miałabym w chodzić do Familij, która mnie niechce.

JAN.

Y co cię obchodzi; Móy Oyciec, móy Wuy, Sioſtra; ſłowem cała Familia moia; ieżeli mnie kochaſz?

ZOFIA.

Wc. Pan maſz Sioſtrę?

JAN.

Mam Zuleczko.

ZOFIA.

Jak ona ſzczęśliwa!

JAN.

Rozpaczasz mię!

ZOFIA.

Posłuszną iestem krewnym twoim. O żeby Niebo dało ci żonę, ktoraby była wartą ciebie, y tak cię kochała iak Zofia.

JAN.

Ty tego życzysz?

ZOFIA.

Muszę.

JAN.

Nieszczęście temu, który cię poznał; y któż być może szczęśliwym bez ciebie!

ZOFIA.

Ty będziesz. Będziesz używał błogosławieństwa obiecanego dzieciom posłusznym woli Oycowskiey. Ja ie także mieć będę od twego Oyca. Powrócę do moiey nędzy, y będziesz pamiętał o mnie.

JAN.

Umrę z żałości; y ty chcesz tego?... (*patrzaiąc smutnie na nią*) Zofio!....

ZOFIA.

Czuię y Ja zmartwienie, które ci sprawuię.

JAN (*ieszcze patrząc na nią*)

Zofia!...,

ZOFIA (*łkaiąc do Poczciwſkiey*)

Ah Mcia Pani! łzy iego wſkróś mnie przenikaią!... Antoſu, niechciey iuż trudzić moią ſłabą duſzę!... Już aż nadto y tak zmęczona.

(*zakrywa oczy rękoma*)

Adieu Antoni!

JAN.

Opuſzczasz mnie!

ZOFIA.

Nie zapomnę nigdy, cóś czynił dla mnie. Kochałeś mnie ſzczerze. A to, nie poniżaiąc ſiebie, ale ſzanuiąc moią niedolę y ubóſtwo, przeświadczyłeś mnie o tym. Nie raz przypominać ſobie będę mieyſce, gdziemem cię poznała...... Ah Antoni!

JAN.

Czy chceſz, żebym umarł?

ZOFIA.

Ja to ieſtem prawdziwie godna miłoſierdzia.

JAN.

Zofio, gdzie idzieſz?

ZOFIA.

Idę dopełnić moie przeznaczenie, dzielić ſię Sioſtr przykrościami, a moie zmartwienia w Matki moiey złożyć łonie. Naymłodſzą ieſtem z

iey dzieci. Kocha mnie. Wyznam iey wſzyſtko, y pocieſzy mnie.

JAN.

Kochaſz mnie, a opuſzczasz?

ZOFIA.

O na cóżem cię poznała!... Ah!... (*oddala ſię*)

JAN.

Nie, nie.... Nie mogę.... Mc. Pani, zatrzymay ią.... Zlituy ſię nad nami!

POCZCIWSKA.

Biedny Antoni!

JAN.

Nie potrafiſz oddalić ſię odemnie.... Póydę... Będę cię śledził.... Zofio, zatrzymay ſię.... Nie proſzę cię, ni przez ciebie, ni przezemnie.... Czyżeś już przedſięwzięła y ſiebie y mnie nieſzczęśliwym zrobić?... O to cię proſzę imieniem tych Tyrannow, krewnych moich... Jezeli cię utracę, nie będę mógł ich ni widzieć, ni ſłyſzeć.... Chceſzże, żebym ich nie nawidział?

ZOFIA.

Kochay Oyca twego. Bądź mu poſłuſznym. Zapomni o mnie.

JAN (*rzuca ſię do nog iey, y krzyczy trzymaiąc za ſuknią*)

Zofio poſłuchay.... Nie znaſz Antoniego....

ZOFIA (*do Poczciwſkiey, która płacze*)

Mc. Pani, przyidź Wc. Pani. Wyrwi mię z tąd.

JAN (*wſtaiąc*)

On ſię wſzyſtkiego odważy... wiedziesz go na zgubę.... Tak ieſt, przywiedzieſz !.

(*Chodzi, płacze, rozpacza. Woła czaſami Zofio! potym ſię wſpiera na krześle y oczy zakrywa*)

SCENA X.

JAN, LUDWIKA, ERAST.

(*Pod czas tey Jego ſytuacyi nadchodzą oni*)

ERAST. (*zatrzymuiąc ſię na ſrzodku y ſmutnie na Jana patrzaiąc mówi do Ludwiki*)

O tóż ieſt nieſzczęśliwy! ſtrudzony, a nie wie, że w tym ſamym momencie... Jak ia iego żałuię! Mc. Dobrodziko powiedź mu.

LUDWIKA.

Janie!

JAN (*nie widząc ich, ale ſłyſząc zbliża-*

żaiących się)

Ktokolwiek ieſteś ; idź powracay do okrutnych, ktòrzy cię tu przyſyłaią,

LUDWIKA.

Braciſzku, to ia ieſtem; Ludwika, ktòra czuie twoie zmartwienie y przychodzi do ciebie....

JAN (*w tey ſamey ſytuacyi*)

Oddal ſię.

LUDWIKA,

To ia pòydę, poniewaz martwię cię,

JAN.

Tak ieſt martwiſz.

(*Ludwika odchodzi, ale Brat woła tonem załośnym.*)

Ludwiko!

LUDWIKA (*zbliżaiąc ſię*)

Braciſzku!

JAN (*biorąc ią za rękę w tey ſamey ſytuacyi*)

Kochała mnie. Odebrali mi ią. Y iuż mię unika!

ERAST. (*do ſiebie*)

Chwała Bogu!

JAN.

Utraciłem z nią wſzyſtko.... Ah!

LU

LUDWIKA.

Zoſtała ci ſię Sioſtra, Przyiaciel.

JAN. (*porywaiąc ſię z żywością;*

Gdzie ieſt Eraſt?

LUDWIKA.

O to ieſt.

JAN. (*chodzi w milczeniu, potym mówi*)

Zoſtaw nas Sioſtro!

SCENA XI.

JAN, ERAST.

JAN.

Tak ieſt.... To będzie ſpoſob naylepſzy.... Trzeba ſię odważyć. Eraſcie, nikt nas nie ſłyſzy?

ERAST.

Y cóż mnie powieſz?

JAN.

Kocham Zofią, y mam wzaiemność. Kochaſz Ludwikę, y ona ciebie.

ERAST.

Ja Wc. Pana *Sioſtrę!*

JAN.

Wc. Pan moią Siostrę. Ale też same przykrości, które mnie czynią, czekaią na Was. Więc ieżeli chcesz, póydziem weczworgu szukać szczęścia, odlegli od tych, co ie nam psuią.

ERAST.

Cóżem usłyszał..... Nie dostawało mi tylko tę usłyszeć poufałość..... Co ty chcesz robić, y mnie radzisz? piękniebym zawdzięczył łaski twego Oyca, których tak wiele doznałem. Nadgrodziłbym iego przychilność, martwiąc go; umorzyłbym go, a przy zgonie swoim, kląłby tę godzinę, którey mnie wziął do siebie.

JAN.

Widzęś skrupulatny. Nie gadaymy o tym więcey.

ERAST.

Uczynek, któryś mnie radził, y któryś sam chciał wykonać, są dwa występki.... (*z żywością*) Janie, porzuć te twoie przedsięwzięcie. Jużeś popadł u Oyca w niełaskę, teraz staniesz się iey godnym; sciągniesz na siebie publiczną wzgardę; wydasz się na surowość prawa; przywiedziesz o rospacz tę, co kochasz.... Jakie ty

ty ſobie gotuieſz zmartwienia.... Jakiś mnie kłopot zrobił.....

JAN.

Jezeli mi ſwoiey odmawiaſz pomocy, nie radźże mi.

ERAST.

Gubiſz ſiebie.

JAN.

Już ſię ſtało.

ERAST.

Y mnie gubiſz..... gubiſz mnie.... Co ia mówić będę Oycu twemu, kiedy z żałością ſwoią oſwiadczać ſię będzie?.... Twemu Wuiowi.... Wuiowi okrutnemu! Sieſtrzeńcze okrutnieyſzy ieſzcze.... Na cóż ći ſię zdało przyznać ſię z tym twoim ułożeniem..... Ty niewieſz.... Ha pocożem tu przyſzedł?

JAN.

Adieu Eraſcie. Pocałuy mnie. Spuſzczam ſię na twoią dyſkrecyą.

ERAST.

Gdzie idzieſz?

JAN.

Zapewnić ſobie iedyne dobro, o które dbam

y oddalić się z tąd na zawsze.

SCENA XII.

ERAST *sam*.

Co za nieszczęście! chce wykraść kochankę swoią, a nie wie, że Wuy iego, chce ią złapać y osadzić. Wszystkich ich staię się poufalcem, y prawie społecznikiem.... Co za sytuacya! nie mogę, ni mówić, ni milczeć, ni czynić.... Nie potrzeba, tylko podeyrzenia, że dopomagam Wuiowi, stałbym się niegodziwcem w oczach Syna y straciłbym szacunek u Oyca.... Jeszcze, gdybym się mógł iemu odkryć.... Ale oni wszyscy wyciągali sekretu.... Nie dotrzymać jego, ani mogę, ani powinienem.... Co temu Skarbnikowi wlazło do głowy, że się mi zwierzył; chiba dla tego, że to rzecz niegodziwa.... Wystawuiąc mi swóy maiątek, y Siestrzenicę, dwie rzeczy dość powabne; myślał, że mnie naybarziey pociągnie. Już on rozumie, że się rzecz stała, y cieszy się.... Jeśli go uprzedzi Siestrzan, drugie nieszczęście. Będzie się widział oszukanym, będzie złym. Mscić się będzie.... Tylkoż Ludwika wie wszystko, zna moią niewinność.... Cóż iey świadectwo

dectwo pomoże przeciwko całey Familij?.... Nie wierzyliby iey.... Jaki mnie zrobili kłopot. Siestrzan przez porywczość, Wuy przez złość.... A ty, ktòra nie obchodzisz nikogo, kto cię obroni od dwóch ludzi tak gwałtownych, którzy przedsięwzięli iey zgubę.... już ledwie iest ieden moment do iey schronienia.... Nie traćmy go.... Nayprzòd trzeba wyrwać z rąk Skarbnika areszt na nią.... Potym.... Ha, obaczym.

AKT III.

SCENA I.

ERAST, LUDWIKA.

ERAST (*tonem proszącym*)

Mcia Dobrodziko!

LUDWIKA.

Day mnie pokòy.

ERAST.

Mcia Dobrodziko.

LUDWIKA.

O co mnie chcesz prosić? Ja miałabym u siebie przyiąć Brata moiego kochankę! u mnie! w mo-

im pokoiu! w Domu Oyca moiego! day mnie Wc. Pan pokoy proſzę, niechcę o tym ani wiedzieć.

ERAST.

Jeſt to oſtatnie ſchronienie, które iey pozoſtaie, y iedyne, które ona przyiąć może.

LUDWIKA.

Niechcę, niechcę.

ERAST.

Nie proſzę cię, tylko o moment, abym ſię mògł rozpatrzać.

LUDWIKA.

Nie, nie..... Nie znaiomą!

ERAST.

Nieſzczęśliwą, którey politowania nie mògłabyś odiąć, gdybyś ią widziała!

LUDWIKA.

Coby na to móy Oyciec powiedział?

ERAST.

Mnieyże ia iego ſzanuię? czyżbym ſię nierównie lękał iego obraźić, iak Wc. Pana?

LUDWIKA.

A Skarbnik?

ERAST.

E, to Człowiek bez zdania.

LUDWIKA.

O, aż nadto on ieſt doſkonały, kiedy gdzie idzie, obmówić kogo albo oczernić.

ERAST.

Będzie on mòwił, żem oſzukał iego, albo Brat twóy zdradzonym ſię porozumie,... Ha, nie uſprawiedliwię ſię ia nigdy..., Ale co to Wc. Pannę obchodzi?

LUDWIKA.

Ty przyczyną ieſteś wſzyſtkich moich zmartwień.

ERAST.

W tey tak przykrey okoliczności, nie proſzę cię tylko, abyś na Wuia y Brata własnego wzgląd miała; nie dopuść im poſtępku tak bezczelnego.

LUDWIKA.

Brata moiego Kochankę! nie znaiomą!.... Nie Mos Panie. Serce mi moie dyktuie, że to ieſt źle, a te nigdy mię nie oſzukało. Nie mów mi więcey o tym; drżę cała, żeby kto nas nie ſłyſzał.

ERAST.

Nie bóy ſię niczego. Oyciec twóy cały ieſt

w za-

w żałościach. Skarbnik y Brat twóy w Proiektach. Ludzie oddaleni, przewidziałem przeciwność w tobie y.....

LUWIKA.

Y co?

ERAST.

Dobry mi popadł moment, y wprowadziłem tu ią. Ona ieſt tu. O to wchodzi. Odeſzliyże ią Wc. Panna.

SCENA II.

ERAST, LUDWIKA, ZOFIA, MARYSIA.

(*Zofia wchodzi iak gdyby zwaryowana, nie widzi nic, nie ſłyſzy, nie wie, gdzie ieſt. Ludwika z ſwey ſtrony w wielkim zamieſzaniu*)

ZOFIA.

Niewiem, gdzie ieſtem..... niewiem, gdzie idę.... niewiem, co ſię dzieie zemną... Czyliż nikogo nie ſpotkam, ktòryby mię poprowadził?... O Nieba, nie chcieycie mnie opuſzczać!

ERAST (*woła ią.*)

Mc. Panno. Mc Panno.

ZOFIA.

Kto mnie woła?

ERAST.

ERAST.

Ja Mc. Panno, Ja.

ZOFIA.

Któż iesteś? Gdzie iesteś? ktokolwiek iesteś, dopomoż mi.... Ochroń mnie....

ERAST, (*bierze ią za ręce y mòwi.*)

Chodź moie Dziecie.... Jdź tędy,

ZOFIA (*idzie krokow kilka, y na kolana upada*)

Nie mogę.... Już siły nie mam.... Ah upadam.

LUDWIKA (*do siebie*)

O Nieba!...

(*do Erasta*) Wołay ią!... Nie wołay!

ZOFIA (*z zamkniętemi oczami, iak gdyby w młodości*)

Okrutni!... Cożem im zrobiła?

(*obziera się na koło siebie z boiaźnią*)

ERAST.

Nie bòy się. Ja iestem Przyiaciel Czulskiego; a Jmość Siostrą Jego.

ZOFIA (*moment zmilczawszy*)

Mc. Panno còż Wc. Pannie powiem? Oglądaj zmartwienie moie. One siły moie przechodzi...

G O to

O to u nog twoich leżę, trzeba, ażebym ſtraciła życie, albo ie winna była tobie.... Jeſte.. nieſzczęśliwa, która ſchronienia ſzuka.... A to od Wuia twego y Brata.... Wuy twòy, którego nieznam, y nigdym obraźić nie mogła, Brat... Ah nie ſpodziewałam ſię mieć od niego przykrości.... Cóż poczną, kiedy y ty mnie opuściſz... dopełnią na mnie przedſięwzięcia ſwoie.... Dopomoż mi. Obroń mię.... Ochroń mnie od nich. Ochroń mnie odemnie ſamey. Nie wiedzą Oni, co może przedſięwziąć troſkliwa o honor y przywiedziona o własnych dni znienawidzenie.... Nie ieſtem przyczyną nieſzczęścia moiego, y nic ſobie wymawiać nie mogę.... Pracowałam; żyłam nikczemnie, ale ſpokoynie.... Zmartwienia dni nadeſzły: a to twoi, ktòrzy mnie ie zciągnęli; całe życie opłakiwać będę godzinę ich poznania.

LUDWIKA.

Jakże mnie przeymuie! Oh trzeba być złośliwym bez miary, aby ią męczyć można.

(Tu pomieſzanie Ludwiki, zamienia ſię w litość, wſpiera ſię na krześle z ſtrony Zofii, która mowi daley.)

Mam

Mam Matkę, która mnie kocha.... Jak że się przed nią ukażę!.... Mc. Panno, chciey własney Matce zachować Còrkę; proszę cię o to przez twoią Matkę, ieśli ią masz ieszcze.... Kiedym ią rzucała, ze łzami mówiła. O Nieba, chcieycie mieć ią pod swoią opieką, strzeżcie ią od złego! Jeśli zabronisz litości sercu swoiemu; nie wysłuchało Niebo iey modłow, y umrze z żałości... Poday rękę nieszczęśliwey, a ona cię przez całe życie błogosławić będzie.... Ja nic nie mogę, ale iest Jestestwo wszystko mogące, przed ktòrym wszystkie miłosierne uczynki bez nadgrody nie są.... Mc. Panno.

LUDWIKA (*zbliża się y podaie Rękę*)

Wstań Wc: Panna.

ERAST (*do Ludwiki*)

Zrzenica twoia we łzach tonie. Nędza Jey, przeięła ciebie.

LUDWIKA.

Y cóżeś zrobił?

ZOFIA.

Chwała Bogu, nie wszystkie są dla mnie zatwardniałe serca.

LUDWIKA.

Znałam ia moie dobrze. Nie chciałam cię, ni widzieć, ni słyszeć.... Jakże się zowiesz?

ZOFIA.

Zofią.

LUDWIKA (*całuiąc ią*)

Zofio, przyidź tu.

(*Erast pada do nog Ludwiki, całuie iey rękę nic nie mówiąc*)

LUDWIKA.

Czegoż chcesz ieszcze? Nie wszystkoż czynię, czego żądałeś?

ERAST (*porywa się*)

Nieroztropny!... Cóżem chciał iey mòwić!

MARYSIA.

Rozumiem Mc. Panno. Spuść się na mnie.

SCENA III.

ERAST, LUDWIKA.

LUDWIKA. (*milczy pierwiey, potym mówi z żalem*)

Piękniesś się mnie Wc. Pan przysłużył.

ERAST.

Wszakżem cię nie prosił, tylko o moment schronienia

nienia dla niey. Cóżby to była za zasługa, gdyby w tym nic niebyło nieprzyzwoitego?

LUDWIKA.

Jakże ci męszczyzni są niebespieczni! ustawicznie tworzą niespokoyności, przypadki, a to przez porywczość..... Oddal się odemnie.... Otóż iest. Już odchodzi.

ERAST.

Jestem Pani posłusznym.

LUDWIKA.

Bardzo dobrze. Wciągnąwszy mnie w tak przykrą okoliczność, nie zostaie iemu, iak tylko mnie opuścić. Idźże sobie Wc Pan, idź.

ERAST.

O iakem ia nieszczęśliwy!

LUDWIKA.

Jeszcze się żaliśż?

ERAST.

Wszakże nic nie czynię mimo twoią wolę?

LUDWIKA

Nudzisz mnie.... Bądź pewnym, że iestem w pomieszaniu, które mi nie daie ani przewidzieć nic, ani upzedzić. Jak ia podniosę oczy na Oyca moiego? ieśli postrzeże zatrudzenie moie, y zapyta

pyta się; skłamać nie zdołam. Skarbnikowi, dość iedne nierozważnie wybęknąć słowo, aby go uwiadomić.... A Brat móy..... Zawczaszu przeczuwam zmartwienie iego. Co się z nim stanie, kiedy Zofii nie znaydzie.... Proszę Wc. Pana, abyś ani na moment nie odszedł odemnie, ieśli nie chcesz, żeby się odkryło wszystko.... Ale ktoś idzie..... Odeydź.... Zostań.... Ah nie odeydź. O Nieba! w iakim ia iestem stanie!

SCENA IV.

LUDWIKA. SKARBNIK.

SKARBNIK.

Ludwiko' sama iesteś.

LUDWIKA. (*pomieszana*)

Tak iast mòy Wuiu. Dość lubię samotność.

SKARBNIK.

Rozumiałem cię z Przyiacielem.

LUDWIKA.

Z iakim Przyiacielem?

SKARBNIK.

A Erast?

LUDWI-

LUDWIKA.

Wyſzedł dopióro.

SKARBNIK.

Cóż on ci mówił? Co ty iemu mówiłaś?

LUDWIKA.

Nudności, według ſwoiego zwyczaiu.

SKARBNIK.

Niepoymuię was. Nie możecie ſię na ieden zgodźić moment. To mnie gniewa. Ma rozum, ma przymioty, wiadomości, obyczaie, które cenię barzo. Subſtancyi prawda niema, ale za to urodzenie ſzacuię iego, y radziłem mu myśleć o tobie.

LUDWIKA.

Co Wc. Pan Dóbr: rozumieſz przez to, myśleć o mnie?

SKARBNIK.

To ſię rozumie. Wſzakże nie myśliſz być zawſze Panną, zapewne?

LUDWIKA.

Y owſzem to moie żądanie.

SKARBNIK.

Ludwiko, dość iuż tego, muſzę ci mówić otwarcie. Iużem ſię zupełnie od Brata twoiego

odcze-

odczepił. Twarda w nim Duſza, y rozum dziki; a właſnie teraz obſzedł ſię ze mną ſpoſobem niegodziwym; co mu pamiętać będę przez całe życie. Niechay iuż ſobie teraz biega za Dziewczyną, o którą ſię zawziął, nic to mnie nie obchodzi.... Już ſię też y uprzykrzyło być nadto dobrym. Całe ſerce do ciebie zwraca ſię moia kochana Sieſtrzenico!.... Jeśli żądaſz właſnego ſzczęścia, Oyca twoiego y mego....

LUDWIKA.

Pewnym być o tym powinieneś.

SKARBNIK.

Ale nie pytaſz ſię, coby trzeba było zrobić?

LUDWIKA.

Zapewne mi Wc. Pan powieſz.

SKARBNIK.

Dobrze mówiſz. Trzeba ſię złączyć z Eraſtem. Jeſt to związek, na który Oyciec twòy nie zezwoli bez oſtaniey przeciwności. Ale mówić mu będę, wſzyſtkie zabiegnę przeſzkody. Słowem, ia to wezmę na ſiebie, ieśli chceſz.

LUDWIKA,

Wc. Pan mnie radziſz Oſobę, któraby nie była z wybioru Oyca moiego.

SKARBNIK.

Nie ieſt bogatym. A teraz wſzyſtko na tym zależy. Ale iużem ci powiedział, że Brat twóy mnie niczym; więc wſzyſtek móy maiątek tobie oddam. Ludwiko rozważ ſię nad tym.

LUDWIKA.

Jabym miała uſzczerbiać Brata moiego!

SKARBNIK.

Jak to uſzczerbiać? Nic wam nie winienem. Y móy maiątek nadto mnie kośztuie, abym im rozrządził podług moiego upodobania.

LUDWIKA.

Móy Wuiu, nie będę ia roztrząſać, iak daleko krewni ſą właſnych ſubſtancyi Panami, y ieśli ich mogą udzielać, komu chcą. To tylko wiem, że nie mogłabym przyiąć twoiey bez wſtydu; a to ieſt doſyć.

SKARBNIK.

Y ty rozumieſz, że Jan to ſamo zrobiłby dla ciebie?

LUDWIKA.

Znam Brata mego, y gdyby on tu był, ręczę, że ſłowa naſze byłyby iednoſtayne.

SKAR-

SKARBNIK.

Còżbyś mnie odpowiedziała?

LUDWIKA.

Mos Panie Skarbniku; nie nagl mnie, ieſtem rzetelną.

SKARBNIK.

Tymci lepiey. Mów. Ja lubię prawdę. Ty mówiſz.

LUDWIKA.

Że to nieludzkość bez przykładu, krewnych ſwoich w nędzy trzymać, na Wſi ich chować, których móy Oyciec wſpiera pokryiomu, y używać maiątku, który im ſię należy; że my nie przyimuiemy, ni Brat móy, ni ia ſubſtancyi, którą powrócić każe przyrodzenie y kraiowe Prawo.

SKARBNIK,

O tóż oboie mieć ich niebędziecie. Opuſzczam Was wſzyſtkich. Wynioſę ſię z domu tego, gdzie wſzyſtko naturalnemu przeciwi ſię rozumowi, gdzie zuchawałość dzieci przechodzi wſzyſtko, równie iak niepilność y nieuczciwość Goſpodarza. Będę żyć ſobie ſzczęśliwie, nie turbuiąc ſię o niewdzięcznych.

LUDWIKA.

Mòy Wuju, barzo dobrze zrobiſz.

SKARBNIK.

Potwierdzenie twoie ieſt zuchwałe. Y życzyłbym ci ſłuchać własnego ſerca. Wiem Ja, co ſię w nim dzieie; znam ſię na tey nieinteresſowaności; y waſze małe taiemnice nie ſą tak niedościgłemi, iak rozumieſz. Ale doſyć iuż.

SCENA V.

LUDWIKA, SKARBNIK, STAROSTA, JAN.

(Staroſta wchodzi a za nim Syn)

JAN (*roztargany, roziuſzony bez przytymności*)

Nie maſz iuż ich.... Niewiedzieć, co ſię znimi ſtało.... Zniknęły.

SKARBNIK (*na ſtronie*)

Dobrze. Móy rozkaz wypełniony.

JAN.

Móy Oycze, wyſłuchay proźby rozpaczonego Syna. Powróć mu Zofią. On żyć bez niey nie może. Udzielaſz ſzczęścia wſzyſtkim otaczaiącym ſiebie. Syn twòy właſny zoſtanie przez ciebie nieſzczęśliwym.... Nie maſz iuż iey.... Zniknęły.... Co ia będę robić?... Co za życie będzie!

SKAR-

SKARBNIK *na ſtronie.*

Pilnował!...

JAN.

Móy Oycze!

STAROSTA.

Nic ia do tego nie należę. Niewiem nic o tym. Mówiłem iuż ci, wierzay mnie.

(*to powiedziawſzy Staroſta przechadza ſię z głową ſchyloną, miną ſmutną*)

JAN *na ſrzodku Teatrum krzyczy.*

Zofio, gdzie ieſteś? Co ſię z tobą dzieie.... Ah....

LUDWIKA *na ſtronie.*

Przeczuwałam to wſzyſtko.

SKARBNIK *na ſtronie.*

Dokończmy robotę. Idźmy.

(*do Sieſtrzana tonem litośnym*)

Janie!

JAN.

Day mi Wc. Pan pokoy. Załuię y teraz, żem Wc. Pana ſłuchał.... Pilnowałem ią.... Byłbym ią ſkłonił.... y ſtraciłem!

SKARBNIK.

Janie!

JAN.

Day mi pokoy.

SKARBNIK.

Ja ieſtem przyczyną twoiego umartwienia, które czuię teraz.

JAN.

O! iakem nieſzczęśliwy!

SKARBNIK.

Przepowiedział mnie to Eraſt. Ale któżby mógł ſądzić, że dla lada dziewczyny tak będzieſz zmartwionym.

JAN *z boiaźnią.*

Co Wc. Pan mòwiſz, o Eraſcie?

SKARBNIK.

Mówię,... Nic.....

JAN.

Czyżby ſię iuż wſzyſtko ſpiknęło na mnie, nadtoby iuż było prześladowania od loſu, gdybym miał wſzyſtko tracić, aż do przyiaciela?... Mos Panie Skarbniku, dokończ Wc. Pan.

SKARBNIK.

Eraſt y Ja...., Boię ſię ci wyznać.... Nigdy nam nie przebaczyſz tego....

STA-

STAROSTA *do Skarbnika.*

Cóżeś czynił?.... Czyż podobna, aby.... Wytłòmacz się móy Bracie.

SKARBNIK.

Ludwiko.... Zapewne ci Erast zwierzył się... Mów za mnie.

JAN *do Skarbnika.*

Smierć mnie gotuiesz.

STAROSTA *surowie.*

Ludwiko, ty mieszasz się.

JAN.

Moia Siostro!

STAROSSTA (*patrząc surowie na Córkę swoią.*)

Ludwiko... Ale nie, nadto haniebne przedsięwzięcie.... Ni moia Córko, ni Erast podiąć się tego mogli.

JAN.

Drżę cały.... Strachy na mnie biją.... O Nieba! czego ia się tu dowiem.

STAROSTA *surowie.*

Mci. Skarbniku, wytłómacz się, proszę Wc. Pana, a przestań dawać mi podeyrzenia niepotrzebne.

(*Starosta przechadza się rozgniewany. Skarbnik*

bnik zdaie ſię być zawſtydzonym. Ludwika zmieſzana; Jan patrzy ſię na Wuia y czeka końca.)

STAROSTA *do Skarbnika.*

Długoż ieſzcze milczeniem ſwoim martwić nas będzieſz?

SKARBNIK *do Ludwiki.*

Ponieważ ty milczyſz, to ia mówić muſzę.

(do Jana)

Kochanka twoia......

JAN.

Zofia.......

SKARBNIK.

Jeſt zamkniętą.

JAN.

O Boże!

SKARBNIK.

Ja na nią otzymałem Areſzt od Króla.... A Eraſt podiął ſię reſzty.

STAROSTA.

Eraſt?

JAN.

Eraſt?.

LUDWIKA.

Braciſzku, nie wierz nic temu.

JAN.

JAN.

Zofio...... A to Eraſt!

STAROSTA *do Skarbnika.*

Y co ci ta nieſzczęſna zrobiła, abyś ią przywiądł, o honoru y wolności ſtratę!..... Co za Prawo maſz do niey?

SKARBNIK.

Co za Prawo!

JAN.

Widzę, ią..... Czuię iey łzy..... ſłyſzę iey ięki.... O czemuż nie umieram! (*do Skarbnika*) O krutny! wezwiy tu ſwego wſpołecznika. Przez litość wydrżyicie mi życie..... Zofio.... Móy Oycze, dopomoż mi.... Ochroń mię od roſpaczy.... (*rzuca ſię w ręce Oyca*)

STAROSTA.

Uſpokoy ſię nieſzczęſny!

JAN (*na rękach Oyca wſparty żałośnie*

Eraſt?.... On!... On!....

SKARBNIK.

Gdyby on niechciał, toby kto drugi tóż ſamo na iego zrobił mieyſcu.

JAN *zawſze na Oyca łonie y żałośnie..*

Zowie ſię moim Przyiacielem, Obłudny!

STA-

STAROSTA.

Na kogo ſię ſpuścić teraz!

SKARBNIK.

Niechciał ón z razu, ałem mu przyrzekł ſubſtancyą moią, y Sieſtrzenicę.

LUDWIKA.

Móy Oycze, nic Eraſt nie wykroczył.

STAROSTA.

Jakże znow nie wykroczył.

JAN.

Posłuchay, a poznaſz go.... Ah zdrayco!.... Zmartwiony gniewem twoim; roziuſzony nieludzkością Wuia; opuſzczony od Zofij....

STAROSTA.

Cóż?

JAN.

Chciałem iuż w mey roſpaczy opuścić te nieſzczęſne mieyſce, y póyść na świata koniec...... Nic, żaden Człek ieſzcze niegodziwiey nie poſtąpił.... Przychodzi do mnie..... Otwieram mu ſerce moie.... Zwierzam ſię iemu myśli moiey, iako Przyiacielowi.... Nagania mnie.... Odradza .... Zatrzymuie. A to, żeby mnie zdradził....

O Niegodziwcze! życiem mi przypłaciſz!

SCENA VI.

CIZ SAMI Y ERAST.

LUDWIKA *poſtrzegłſzy go, bieży doń, krzycząc.*

Eraſcie, gdzie idzieſz?

JAN *idzie do niego y mówi ze złością.*

Zdrayco, gdzie ieſt ona? powròć mi ią. A gotuy ſię życie ſwoie bronić.

STAROSTA *biegąc do Syna.*

Janie!

LUDWIKA.

Braciſzku!.... Wſtrzymay ſię.... Umieram! (*pada na krzeſło*)

SKARBNIK.

Jak to ią intereſſuie? a Wc. Pan nic na to? He?

STAROSTA.

Eraſcie, wyniydź z tąd.

ERAST.

Pozwòl mi Wc. Pan zoſtać.

JAN.

Co ci zrobiła Zofia? Cóżem ci zrobił, abyś mnie

zdra-

zdradził?

STAROSTA *do Erasta.*

Szkaradnieś postąpił.

JAN.

Jeśliś chciał Siostry moiey; nie lepieyże było?.. Wszakżem ci przekładał.... Aleś rozumiał, że otrzymasz ią przez zdradę.... Oszukałeś się Niegodziwcże.... Nie znałeś ni Ludwiki, ni Oyca moiego, ni Skarbnika, który cię tak upodlił, y pasie się wstydem twoim.... Nic nie odpowiadasz.... Milczysz?

ERAST *z flegmą.*

Słucham Wc Pana, y uważam, że tu w iednym momencie odeymuią szacunek przez całe życie zasługowany. Inney się spodziewałem nadgrody.

STAROSTA.

Jeszcze się obłudnym czynisz!. Wyniydź z tąd.

ERAST.

Uznacie sami, że nie iestem ni zdraycą, ni obłudnym.

JAN.

Co za bezczelność!

SKARBNIK.

Próżno się taisz. Jużem wszystko opowiedział.

ERAST.

Mos Panie, teraz Wc. Pana poznaię!

SKARBNIK.

Co ty przez to rozumiesz? przyrzekłem ci substancyą moią y Siestrzenicę, to nasza umowa; nie bóy się, dotrzymam.

JAN.

Nie Mos Panie, z łaski iego ia iey teraz będę na mieyscu Męża.

ERAST *do Skarbnika.*

Nie tak daleko cenię ia bogactwa, abym ie przyimował z honoru stratą; y Siestrzenica Wc. Pana nie może być zdrady nadgrodą..... O to masz Wc. Pan swóy areszt.

SKARBNIK *biorąc.*

Ten sam aresżt. Obaczym; obaczym.

ERAST.

Byłaby w inszych ręku, żebym go uczynił.

JAN.

Co ia słyszę! Zofia iest wolną?

ERAST.

Janie, naucz ſię pozorom nie wierzyć, y nie uymować ſzacunku Człekowi honor kochaiącemu. Mc. Skarbniku, żegnam Wc. Pana (wychodzi)

STAROSTA *z żalem.*

Oſądziłem nadto prędko. Uraziłem go!

SKARBNIK *obracaiąc ten Areſzt.*

On ieſt.... Oſzukał mnie.

STAROSTA.

Właſnieś zaſłużył na to.

SKARBNIK.

Tak ieſt. Zaprawiay ich do nieposłuſzeńſtwa!

JAN.

Gdziebykolwiek była ona, Pani Poczciwſka przyiśćby powinna.... Pòydę. Będę ſię z nią widział. Padnę iey do nóg. Sam ſiebie oſkarżę. Rzewnym płaczem przebaczenia doſtanę, y dociekną taiemnicy. (wychodzi)

LUDWIKA *biegąc za nim.*

Braciſzku!

JAN *do Ludwiki.*

Day mi pokóy. Wſzakże maſz ſwoie także intereſſa.

SCE-

SCENA VII.

STAROSTA, SKARBNIK.

SKARBNIK.

Czy ſłyſzałeś?

STAROSTA.

Tak ieſt, ſłyſzałem.

SKARBNIK.

Wieſz gdzie idzie?

STAROSTA.

Wiem.

SKARBNIK.

Y nie zatrzymuieſz go?

STAROSTA.

Nie.

SKARBNIK.

A ieśli znaydzie tę dziewczynę?

STAROSTA.

Barzo dobrze o niey trzymam. Jeſt to dziecie; ale dziecie dobrze urodzone, a w tey okoliczności więcey ona dokaże, niżli Wc. Pan y Ja.

SKARBNIK.

Ot to imaginacya!

STAROSTA.

Nad moim Synem teraz rozum niema władzy.

SKARBNIK.

Więc tedy niechay ſię gubi. Paſsye mię biorą. Wc. Panże Oycem ieſteś? Wc. Pan!....

STAROSTA.

Chcieyże Wc. Pan mnie poradzić co mam czynić?

SKARBNIK.

Co czynić? Pokazać ſię Panem ſiebie, człekiem teraz, a Oycem potym ieśli zaſłużą na to.

STAROSTA.

Przeciw komu?

SKARBNIK.

Przeciw komu? Co za pytanie! Przeciw wſzyſtkim. Przeciw Eraſtowi, który Syna twego tuczy zapamiętałość; który utrzymuie dziewczynę w domu twoim, zrzòdło całego zamieſzania; a to ażeby otworzył wrota dla ſwoich zamyſłow, y któregobym nie cierpiał u ſiebie. Przeciw Córce, ktòra codzień barziey zuchwałą ſtaie ſię, ktòra mnie ubliża; wkrótce y tobie będzie, y którąbym w Klaſztorze zamknął. Przeciw Synowi, który nie dba o honor, który powſzechnym ſzemra-

raniem y wſtydem pokryie nas, któregobym tak umartwił, że więceyby ſię nie odważył być nieposłuſznym y nie uſkramiać ſwawolne chuci. Przeciw tey Starey, ktòra iego przyciągnęła do ſiebie równie iako przeciw ſamey Zoſij, która mu Głowę zawròciła; a wſzyſtkichbym wkrótce zaſpokoił. Takbym zaczął, będąc na twoim mieyſcu a wſtydziłbym ſię tych krokow, ktòre czyniſz teraz.... Ale do tego potrzeba złości, a my iey nie mamy.

STAROSTA.

Wyśmienita rada. Mam wygnać z Domu mego Oſobę, którą od kolebki wziąłem do ſiebie, ktòremu dotąd byłem za Oyca, który przez wdzięczność pilnuie intereſſow moich, odtąd, jak ſię zna na nich, który młodości ſwojey naymilſze pierwiaſtki utracił przy mnie, ktòry odemnie opuſzczony żadnego nie ma wſparcia, y któremu przyjaźń moja nader okropną byłaby, będąc nieużyteczną; a to z pretextu, że źle doradza Synowi mojemu, którego naganne przedſięwzięcia nie potwierdził, że uſługiwał oſobie, którą nigdy może niewidział, z jedyney przyczyny, aby jey zguby przyczyną nie był.

Mam

Mam zamknąć Córkę moją w Klasztorze; a przez to podać ią w podeyrzenie niesprawiedliwe, y w niesłuszną niesławę; a to że nie była ślepo-posłuszną dziwactwom twoim, których znudzona ciągiem nierozważne jemu wyrzekła kiedy słowo.

Mam się podawać w nienawiść u Syna, przytłumić winne mnie przywiązanie, roziuszyć zapęd iego, ktòry przez niewstrzymanie swoie, przywieść go może o honoru stratę; a to, że napotkał nieszczęśliwą, wdzięki y cnotę maiącą, y że przez czułość, istotny dowod natury dobroci, powziął do niey przywiązanie, ktòre mnie się nie podoba.

Niewstydziszże się tey swoiey rady? Wc. Pan, cobyś powinien być dzieci moich obrońcą przedemną, sam ich oskarżasz; szukasz w nich błędow zwiększasz ie, y starasz się prawie, abyś mògł zawsze znaleść w nich co do na ganienia.... A TEZ KOBIETY.

SKARBNIK.

Jeszcze y ich bierzesz stronę?

STAROSTA.

A co, niesłusznie? są takie rzeczy, co skrycie czuię y znaszam taiemnie, niechcąc go martwić

twić. Ale teraźnieyſza czynność Wc. Pana, nadto mnie intereſsuie, abym ią tobie nie wymówił.

SKARBNIK.

Ja zawſze źle czynię, Wc. Pan tylko doſkonale.

STAROSTA.

Nie móy Bracie, nie zrobiſz zemnie, ani Oycem nieſprawiedliwym y okrutnym, ani Człekiem bezwdzięcznym. Nie uczynię żadnego gwałtu dla tego, że byłby użytecznym; nie ſtracę nadzieie moie, że ſię zdarzyły umartwienia, ani Dom mòy w puſtynię obròcę, że trafiaią ſię okoliczności, których bym nie chciał.

SKARBNIK.

O tóż ſię wytłumaczył. Chowayże ſobie twoią Córunię, y nayukochańſzego Syna, y wſzyſtkie miluchne oſobki, własciwe do ich zepſucia; barzo mądrze; nic na to mówić nie można. Ale oznaymuię, że ſię z Eraſtem nie pomieścim w żadnym Domie.... Nie maſz żadnego ſpoſobu. Albo dziś wynieść ſię z tąd muſi albo ia iutro.

STAROSTA.

Jeſteś ſwoiey woli Panem.

SKAR-

SKARBNIK.

Zgadłem właśnie. Wiem doskonale, że chciałbyś się mnie pozbyć, ale? ale na złość tu będę, abym ci wyrzucał na oczy głupstwa wasze. Ciekawy iestem, co to za koniec tey roboty będzie.

AKT IV.

SCENA I.

JAN *wpada z furyą.*

Aha, cała się robota odkryła. Y Zbóyca odkryty, nieszczęście iemu. Nieszczęście iemu! wprowadził Zofią niegodziwiec. Musi z rąk moich zginąć.... Musi.... (*woła*) Albercie.

SCENA II.

JAN, ALBERT.

ALBERT.

Co Pan każe?

JAN *bilet daiąc.*

Zanieś to.

ALBERT.

Komu?

JAN.

JAN.

Fraftowi.... Wyprowadzę go z tąd. Potkamy fię, y legnąć muſi. Muſi mnie ſwoie przewinienie wyznać, wraz z taiemnicą iey ſchronienia, a potym ſzukać ią będę, gdzie mię nadzieia powiedzie...... (*poſtrzega Alberta, że ieſzcze nie poſzedł*) A ty tu ieſzcze?

ALBERT.

Mós Panie.

JAN.

No, y cóż?

ALBERT.

Nie maſz w nim nic, przeciwko Oyca Pańſkiego woli?

JAN.

E, idź.

SCENA III.

JAN, LUDWIKA.

JAN.

On, co mi tyle winien!.... Com tyle razy broniąc iego Skarbnikowi naraził fię..... Któremu...... (*poſtrzegłſzy Sioſtrę*) Nieſzczęſno' do

do kogoś się ty przyczepiła!

LUDWIKA.

Co ty mòwisz? Mòy Braciszku, co tam masz? drżę cała!

JAN.

Niegodziwiec. Zdrayca!.... Ona szła w ufności, że ią do ciebie wiodą..... A on pod twoim zdradził ią imieniem......

LUDWIKA.

Erast niewinny.

JAN.

Widzieć łzy nieszczęsnych, ięki ich; iedna im tylko radość pozostała, że były razem, y tę im wyrwać. Trzeba być nadto zbestwiałym do tego okrucieństwa.

LUDWIKA.

Nie iest on okrutnym; on twoim Przyiacielem.

JAN.

Przyiacielem?.... Wszakżem chciał.... Wszakżem chciał z nim się dzielić moim losem,... Poszlibyśmy wszyscy czterey; on z tobą, ia z Zofią...

LUDWIKA.

Co ia słyszę!.... Radziłeś to iemu?

JAN.

JAN.

Co on mnie na to nie gadał! iakich mi przeciwności nie przytaczał? co za obłudnik!

LUDWIKA.

Jeſt to Człowiek cnotliwy; tak Braciſzku, a to oſkarżaiąc iego, uwiadamiaſz mnie o tym.

JAN.

Co ty śmieſz mówić? lękay ſię gniewu moiego..... Bronić go, ieſt to złość moią powiękſzać.... Oddal ſię.

LUDWIKA.

Nie Braciſzku, wyſłuchaſz mnie. Będzieſz mnie widział u nog ſwoich.... Eraſt.... Przyznay mu ſłuſzność.... Wſzakże go znaſz dobrze.... Mógłże moment iedn odmienić go zupełnie.... Oſkarżaſz go!.... Nieſprawiedliwy!

JAN.

Nieſzczęście tobie, ieśli ci miłość zoſtaie ieſzcze!.... Już ia płaczę.... Będzieſz y ty płakać wkrótce.

LUDWIKA *z boiaźnią y drżącym głoſem.*

Co ty myśliſz?

JAN.

Przez litość dla siebie, nie pytay się mnie.

LUDWIKA.

Nienawidzisz mnie?

JAN.

Załuię cię.

LUDWIKA.

Oyca moiego czekasz?

JAN.

Unikam go. Wszystkich ludzi unikam.

LUDWIKA.

Już ia to widzę. Chcesz zgubić Erasta.... cesz mnie zgubić.... Gubże nas.... Mów cu moiemu....

JAN.

Nic iuż iemu mówić nie trzeba.... Wie iuż szystko.

LUDWIKA.

O! Nieba!

SCENA IV.

JAN, LUDWIKA, STAROSTA.

(Jan pokazuie się z niecierpliwością na przystęp Oyca; a potym ustał)

STARO-

STAROSTA.

Ty mnie unikaſz, a ia ciebie opuścić nie mogę!.... Nie mam iuż Syna, a tobie zawſze Oyciec zoſtaie.... Janie, za co mnie ty unikaſz?.... Nie przychodzę martwić cię więcey, y narażać ſię na nowe wzgardy.... Móy Synie, móy Przyiacielu, chceſzże, żebym z umartwienia umarł?... Jeſteśmy ſami. O to twóy Oyciec. O to Sioſtra, która płacze, a łzy moie, czekaią twoich, aby ſię z niemi zmieſzać mogły.... O iak ten moment ſłodkim będzie, ieśli ty zechceſz. Straciłeś kochankę ſwoią, a ſtraciłeś ią przez Oſobę która ci ieſt drogą.

JAN *wznoſząc oczy w górę z furyą.*

Ah!

STAROSTA.

Przezwycięż ſiebie, a pogardź onym. Pogrom namiętność, która cię upodla. Ukaż ſię godnym mnie.... Janie, powróć mi Syna.'

(*Jan oddala ſię. Chce odpowiadać czułości Oyca, ale nie może. Poſtrzega to Oyciec y mówi*)

O Nieba! czy także to czczą Oyca! oddala ſię odemnie... Beżwdzięczny Synie y wyrodny. Y gdzież ty póydzieſz, żebym cię nie śledził....

wſzę-

wſzędy za tobą póydę. Wſzędy u ciebie o Syna proſić będę.....

(*Jan oddala ſię, a Oyciec za nim idąc krzyczy*)

Powróć mi Syna.... Powróć mi Syna.

(*Jan wſparty o mur, głowę na ręku kładnie, Oyciec kończy*)

Nie odpowiada mi. Głos móy iuż nie ieſt ſercu iego miłym. Opanowała je bezczelna namiętność. Ona zepſuła go. Stał ſię dzikim y nieczułym.

Rzuca ſię na krzeſło y mówi.

Nieſzczęſny Oycze! Nieba cię ſkarały. Karzą mnie Nieba przez ſłabość moją... Ah umrę już! .... Okrutne Dzieci! ...., to moje żądanie....., to waſze życzenie...

LUDWIKA *zbliża ſię do Oyca łkając.*

Ah!... Ah!

STAROSTA.

Uſkrom ſię.... Nie będzieſz długo ſmutek móy oglądać.... póydę....póydę w odludną krainę jaką, tam czekać będę życia końca, które wam przykre.

LUDWIKA *z żałością y biorąc Oyca za ręce.*

Jeśli porzuciſz Dzieci twoje, cóż ſię z nimi ſtanie?

STAROSTA *zmilczawszy trochę.*

Ludwiko miałem o tobie projekta..... o Eraście.... Mòwiłem nieraz patrząc na was dwoje; ten jest w stanie Córkę moją uszczęśliwić.... ona Przyjaciela mojego Familią podniesie.

LUDWIKA *zadziwiona.*

Co ja słyszę!

JAN *obracając się z furyą.*

Onby zaślubił Siostrę moją? jabym jego szwagrem zwał moim?

STAROSTA.

Wszystko mnie trudzi zarazem.... już y myśleć niemożna o tym.

SCENA V.

JAN, LUDWIKA, STAROSTA, ERAST.

JAN.

Otoż jest. Wychodź; wyniydźcie wszyscy.

LUDWIKA *bieży naprzeciw Erasta.*

Eraście, wstrzymay się. Poczekay.

STAROSTA *bierze wpòł Syna y ciągnie za Theatrum.*

Janie..... mòy Synie.

Erast się zbliża krokiem stałym, Jan nim wyidzie, kiwa

kiwa głową na Erasta, żeby wyszedł.

LUDWIKA.

Nie dośćże ia iestem nieszczęśliwą?

Starosta wychodzi y spotyka się z Skarbnikiem.

SCENA VI.

LUDWIKA, ERAST, STAROSTA, SKARBNIK.

STAROSTA.

Móy Bracie, w tym momencie będę ci służyć.

SKARBNIK.

To się niby znaczy, że w tym mię nie chcesz mieć. Nayniższy sługa.

SCENA VII.

LUDWIKA, ERAST, STAROSTA.

STAROSTA *do Erasta.*

Dom móy podzielony y w zamieszaniu, z przyczyny twoiey. Eraście, nie iestem z Ciebie kontent.

Nie będę ci nic usług moich wymawiał. Możebyś chciał tego. Ale zaufanie moie w tobie, którem ci dziś oświadczył, powinnoby wrazić w tobie większą wdzięczność, niżeli mi pokazuiesz...

Móy Syn chce mnie opuścić, zwierza się ci tego, ty zaś taisz przedemną. Skarbnik zasadzki robi, powierza ie tobie, ty y to przedemną taisz.

ERAST.

Wymagali sekretu.

STAROSTA.

Powinienżeś go był przyrzec?.... Teraz zaś zniknęła ta dziewczyna, a iesteś przekonanym, żeś ią tu przywiodł.... Cóż się z nią stało?.... wyznay sam, co ia powinienem z tego wnosić a milczenie?.... Ale nie wymagam odpowiedzi u ciebie. W tey okoliczności iest iakaś taiemnica, którey dociekać nie powinienem. Cokolwiek bądź ta dziewczyna mnie interessuie, y chcę, żeby się znalazła.

Ludwiko, nie wròżę iuż ia sobie pociechę, ktòrą w Was znaleść spodziewałem się. Przeczuwam umartwienia, ktòre sędziwość moią trudzić mają, y chcę odiąć wam przykrość, którąby przytomność sprawiła moia. Zdaiemi się, że nic nie zaniedbałem do uczynienia Was szczęśliwemi, pomyślność wasza cieszyć mnie będzie.

SCE-

SCENA VIII.

LUDWIKA, ERAST.

Ludwika rzuca ſię na krzeſło, y głowę na ręku wſpiera.

ERAST.

Widzę nieſpokoyność w tobie, y twoich czekam wymòwek.

LUDWIKA.

Roſpacz mnie bierze.... Brat mòy czyha na twoje życie.

ERAST.

Nie boję ſię niczego. Rozumie ſię być zdradzonym, ale ja jeſtem niewinny y ſpokoyny.

LUDWIKA.

Na co ja ſię zdałam na ciebie! czemum właſnego nie ſłuchała przeczucia. .... Słyſzałeś Oyca mojego.

ERAST.

Twóy Oyciec nadto jeſt ſprawiedliwym, abym ſię miał jego lękać bez przyczyny.

LUDWIKA.

On cię kochał. On cię ſzacował.

ERAST.

Jeżelim zjednał jego łaſkę, to y teraz odzyſzczę.

LU-

LUDWIKA.

Zrobiłbyś Córkę jego ſzczęśliwą ..... Ludwika wznioſłaby Przyjaciela jego Familią.

ERAST.

O Nieba! tak on mówił!

LUDWIKA *do ſiebie.*

Nie odważyłam ſię zwierzyć ſię jemu.... zmartwionym był z przyczyny Brata mojego; niechciałam mu dodawać przykrości ..... mogłamże ſię ſpodziewać, że mimo przeciwność y nienawiść Skarbnika ..... Ah Eraście, tobie on mnie przeznaczał.

ERAST.

Kochałeś mnie!... Ah! ale cóż zrobiłem, com był powinien zrobić. Jakikolwiek z zdarzenia tego koniec wyniknie, uſkarżać ſię na ſiebie przyczyny niemam, ... Mcia Panno, trzeba żebyś wiedziała wſzyſtko.

LUDWIKA.

Cóż ſię ſtało?

ERAST.

Ta kobieta------

LUDWIKA.

Jaka?

ERAST.

Ta, Zofii Ochmiſtrzyni.

LU-

LUDWIKA.

Y cóż?

ERAST.

Jeſt w bramie tey Kamienicy. Ludzie zgromadzili ſię na koło niey, Proſi, żeby ją wpuſzczono; chce cóś donieść.

LUDWIKA *porywa ſię y bieży chcąc wyiść z Sceny.*

O Boże!..... biegnę.....

ERAST.

Kędy?

LUDWIKA.

Upaść Oycu mojemu do nòg.

ERAST.

Zaczekay. Pomyśl.....

LUDWIKA.

Nie Mos-Panie.

ERAST.

Ale poſłuchay.

LUDWIKA.

Nic już, nic nie ſłucham.

ERAST.

Ludwiko.... Mcia Panno.

LUDWIKA.

No, y czegoż chceſz?

ERAST.

ERAST.

Już rzecz zrobiona. Zatrzymuią ią. Nie weydzie tu; a choćby y weszła, ieśli ią nie powiodą do Skarbnika, cóż ona powie drugim, którzy o niczym nie wiedzą.

LUDWIKA.

Nie Mci Panie, nie oszukasz mię więcey, nie podam się ia raz drugi na też samo niebespieczeństwo. Móy Oyciec wszystko wiedzieć będzie. On ma serce dobre, pozna niewinność moią, twoiey czynności istotę docieknie; a tak wymogę na nim przebaczenie dla nas oboyga.

ERAST.

A taż nieszczęśliwa, którey schronienia dozwoliłaś?.... Możeszże ią przeznaczać bez doradzenia się iey samey?

LUDWIKA.

Móy Oyciec iest ludzki.

ERAST.

O tóż y Brat twóy.

SCENA IX.

LUDWIKA, ERAST, JAN.

Jan wchodzi powoli z miną dziką y posępną,

głową

głową schyloną, ręce na krzyż, kapelusz nasunięty!

LUDWIKA *wpada pomiędzy ich y mówi.*

Jan!.... Erascie!

JAN *do Erasta.*

Rozumiałem, że cię samego znaydę.

LUDWIKA.

Erascie, iest to twóy Przyiaciel; a móy Brat.

ERAST.

Mcia Panno nie zapomnę tego. (*siada na krześle*)

JAN *siada na drugim,*

Czy zostaniesz, czy odeydziesz, ia cię nie odstąpię.

LUDWIKA *do Jana.*

Wstydź się być tak zajadłym niewdzięczniku.... Cóżeś przedsięwziął!.... Ty nie wiesz....

JAN.

Ho wiem barzo dobrze.

LUDWIKA.

Ale się mylisz.

JAN *porywa się.*

Przestańże.... zostaw nas..... (*do Erasta pokazując na szpadę*) Eraście!

Erast porywa się gwałtownie.)

LU-

LUDWIKA *do Brata zwrócona mówi:*

O Boże! .... wſtrzymay ſię. .... Dowiedź ſię, że Zofia.....

JAN.

No, y cóz Zofia?

LUDWIKA.

Co ja mu powiem?

JAN.

Cóż zrobił. Mówże Sioſtrunio.

LUDWIKA.

Co z nią zrobił? ....ſchronił ją od twego zapędu .... od zaſadzek Skarbnika....Przywiodł ją tu.... potrzeba ją było przyjąć ..... ona tu jeſt, jeſt tu mimo wolę moją....

Łkając y płacząc.

Idźże teraz; przebiy mu ſerce.

JAN.

O Nieba! mogęż ja temu wierzyć. Zofia jeſt tu .... a to on .... a to ty Sioſtruniu, zachowaliście mi ją.... O przyjacielu! ... wybacz, jeſtem nieſzczęśliwym, jeſtem zajuſzonym.

ERAST.

Jeſteś zakochanym.

JAN

JAN.

Wielem wam winien ...., przebaczcie mnie.... Ani wątpię o tym, jesteście sprawiedliwi. kochacie się, wiecie, jak daleko miłość człekiem władnie, y nie odmówicie mi przebaczenia .,... Ale .... musiała się o moim dowiedzieć przedsięwzięciu; narzeka może na mnie, płacze, przeklina ..... Ludwiko, niebędziesz się mścić na mnie, spodziewam się, że uymiesz mi troskow, a powiększyć je nie zechcesz? Racz więc dopełnić dobroci swoje.... dozwol mi ią widzieć.... moment tylko. ....

LUDWIKA.

O co ty mnie prosisz?

JAN.

Siostruniu, muszę ią widzieć. .. muszę koniecznie.

LUDWIKA

Ani myśl o tym.

ERAST.

Już jemu tego nie wypersważduiesz.

JAN.

Ludwiko!

LUDWIKA.

A móy Oyciec ? a Skarbnik.

JAN.

Co mnie do ich? ... muſzę ją widzieć koniecznie, y biegnę zaraz.

ERAST.

Poczekay.

LUDWIKA.

Eraście!

ERAST.

Trzeba już ich ſprowadzić.

LUDWIKA.

O okrutne życie!

Eraſt wychodzi, po nich wiedzie Maryſię, Ludwika idzie ku śrzodku.

JAN *Sioſtry całując ręce, potym zwraca ſię do Eraſta y całując go mòwi:*

Będę ją widział!

LUDWIKA *cicho mòwi do Maryſi, potym kończy głośno, y tonem przynaglonym.*

Przywiedźże ją. Ale miey ſię na oſtróżności.

ERAST.

Nadewſzyſtko pilnuy Skarbnika.

JAN.

Będę Zofią widzieć!

Zbliża się ku teyſtronie, z którey Zofia ma wniść, y przyſłuchiwając się mówi:

Chod jey ſłyſzę ...., zbliża się... Ah drżę cały.... dróſzcz po mnie przechodzi ... zdaje się, że ſerce moje, chce się ze mnie wydrżeć na przeciw jey, y lęka się przyſtąpić do niey.... nie, niebędę miał tylo po niey odwagi, abym wzniosłoczy ku niey.. Nie zdołan nic jey mówić.

SCENA X.

LUDWIKA, ERAST, JAN, ZOFIA, MARYSIA, *w przedpokoju na weyściu do Sali.*

ZOFIA *poſtrzegłſzy Jana bieży ztrwożona, rzuca się na ręce Ludwiki y mówi:*

Mcia Panno.

JAN *idąc za nią.*

Zofio!

Ludwika trzyma Zofią y ią ściſka.

ERAST *woła.*

Maryſiu.

MARYSIA *zewnątrz.*

Jeſtem.

LUDWIKA *do Zofij.*

Nie lękay się niczego. Ośmiel się. Uśiądz.

Zofiia

Zofia uśiądzie, Ludwika y Eraſt oddalaią ſię ku ſrzodku Theatrum, y patrzaią ſię na Scenę Jana z Zofią. Eraſt ma minę ſmutną y zamyśloną. Poziera czaſem na Ludwikę, ktòra z ſwojey ſtrony ſmutek pokażuje, a czaſem nieſpokoyność.

JAN *do Zofii, ktòra ma oczy ſpuſzczone, y ſmutną poſtawę.*

Ah ty to jeſteś. Ty kochana Zofio. Pozyſkałem cię.... Zofio .... o Nieba! co za ſurowość! co za milczenie! ... Zofio, dozwolże oczom ſwoim zwrótu na mnie.... Tylem już cierpiał.... wymów choć jedne ſłówko nieſzczęſnemu! ...

ZOFIA *nie patrząc nań.*

Właśnieſz zaſłużył na to.

JAN.

Spytay ſię ich.

ZOFIA.

Còż mnie donioſą? niewiemże już doſyć? Gdzie jeſtem. Po co tu jeſtem? kto mnie tu przywiodł? .... Mci Panie, co to zaprżedſięwzięcie Wc. Pana, względem mnie?

JAN.

Kochać ciebie, pojąć cię, poświęcić ſię tobie, mimo wſzyſtkie przeſzkody, mimo ciebie.

ZO.

ZOFIA.

Barzo widzę wielką chowaſz Wc. Pan nieſzczęśliwym wzgardę. Mają ich za nic. Zdaje ſię powinność wyciągania od nich powolności na wſzyſtko. Mc. Panie, mam y Ja krewnych.

JAN.

Poznam ich. Póydę. Ucisnę ich nogi. Y wymogę na nich pozwolenie poięcia ciebie.

ZOFIA.

Próżno podchlebiaſz ſobie. Nędzni ſą Oni, ale honor u nich naywiękſzym bogactwem .... Mc. Panie powróć mnie krewnym moim. Powróć mnie, mnie ſamey. Odeſzlyi mię.

JAN.

Zycia moiego żąday raczey. Te ieſt na twe uſługi.

ZOFIA.

O Nieba! co ſię zemną ſtanie. (*Do Eraſta tonem żałośnym*) Mc. Panie! .... (*do Ludwiki*) Mc. Panno.

(*Obraca ſię do Jana.*)

Mc. Panie, odeſzliy mię .... Odſzliy mię.... okrutny! Chceſzże mnie u nog twoich widzieć. Oto ieſtem.

Pada

(*Pada do nog Jana*)

JAN *na wzaiem pada y mówi.*

Ty u nog moich! Mnie to należy leżeć u twoich, u twoich ſkonać.

ZOFIA *podniesiona.*

Bez litości ieſteś .... Tak ieſt bez litości.... Podły uwodzicielu, cóżem ci zrobiła? Co za prawo rościſz ſobie do mnie? chcę odeyść, obaczę, kto ſię odważy mnie zatrzymywać... Kochaſz mnie?... Kochałeś mnie.... Wc. Pan?

JAN.

Niech powiedzą.

ZOFIA.

A przedſięwziąłeś zgubę moią.... Tak ieſt przedſięwziąłeś ią y dokonaſz .... Ah Antoni!

(*mówiąc to daie ſię prowadzić do krzeſła; ſiada, oczy odwraca do Jana y płacze*)

JAN.

Wzròk ſwóy odwracaſz odemnie!.... Płaczeſz! Ah czemuż żyię ieſzcze!.... O Nieſzczęśliwy!....

ZOFIA *do ſiebie*

O nędzna Zofio! y na cóż cię zoſtawiło Niebo! ubòſtwo wyrywa mnie z łona Matki.... Rozumiałam, że za przyjazdem moim litość y miłoſierdzie

pora-

poratują mię, aż to na ich mieyſcu ſamą tylko doświadczam wzgardę, ... Krewni mnie unikają .... Brat mnie opuſzcza.... ledwom cnotliwą doſtała kobietę do ſtrzeżenia mnie.... ſrogi wyrok jakiś ſprowadził na zmartwienie moie okrutnika tego.... którego miłość gotuje mnie zgubę.... Równie y Wuja jegoż ſtrzedź ſię muſzę, który zażarty na mnie nie znając, zemſty przemyśla, za to, że fatalnym zdarzeniem jakimś miałam nieſzczęście podobać mu ſię..... oto jeſt, niechay mówi, niech ſię oſkarży..... Okrutniku, wymawiay ſię, nuże.....

JAN.

Niewinne ſerce moie. Zofio zlituy ſię .... przepuść!

ZOFIO.

Ktoby ſię nie oſzukał ?... tak łagodnym y dobrym zdawał ſię !... Zdawał ſię tak ſkromnym.

JAN.

Zofio przepuść mnie!

ZOFIA.

Ja ci mam przebaczyć?

JAN.

Zofio! (*chce iey rękę pocałować*)

ZOFIA.

Oddal się. Nie kocham cię iuż więcey. Nieszacuię cię. Nie!

JAN.

O Boże! w co ia się obròcę!... Siostrunio, mów za mną; proszę cię, przeproś .... Zofio, daruy mi.

ZOFIA.

Nie.

(*Erast zbliża się, y Ludwika, która mówi*)

Moie dziecie!

ERAST.

On cię szacuie.

ZOFIA

Dobrze, niech że mię o tym przeswiadczy. Niech mnie przeciw Wujowi broni, krewnym odeszle, to iemu przebaczę.

SCENA XI.

ERAST, LUDWIKA, JAN, ZOFIA, MARYSIA.

MARYSIA *do Ludwiki:*

Mca Panno, ktoś idzie. Ktoś idzie

ERAST.

Wyidźmy wszyscy.

Lu-

(Ludwika oddaie w ręce Maryſi Zofią, wſzyſcy wychodzą róznemi ſtronami)

SCENA XII.

SKARBNIK, POCZCIWSKA, LORENS.

(Skarbnik wpada z furyą, a za nim oni

POCZCIWSKA *na Lorenſa pokazuiąc.*

Tak ieſt Mci Panie to on. Ten ſam zapewne, który był przytym, który mi ią wyrwał. Poznałam go zaraz.

SKARBNIK.

Hultaiu! Zaraz poſzlę po Inſtygatora, aby cię nauczył zaſadzki robić.

LORENS.

Nie gub mnie Panie. Wſzakeś mi przyrzekł.

SKARBNIK.

Y cóż ona tu ieſt?

LORENS.

Tu ieſt.

SKARBNIK *na ſtronie.*

Ona tu ieſt; o Sarbniku! y tyżeś nie zgadł tego?

LORENS.

Zapewne.

SKARBNIK.

A to ty Hultaiu przy karecie szedłeś?

LORENS.

Ja Mci Panie.

SKARBNIK.

A Erast w Karecie siedział?

LORENS.

Tak iest Erast.

SKARBNIK.

Erast?

POCZCIWSKA.

Tak on mówi.

SKARBNIK.

A ha, złapałemże ich!

POCZCIWSKA.

Kiedy iuż ią wiedli, wyciągnęła ręce do mnie, y mówiła. Zegnam Wc. Panią, iuż cię nie obaczę, modl się za mną. Ah Panie dozwól mi ią widzeć, choć na chwilę.

SKARBNIK.

Nie można.... Co za przypadek!

POCZCIWSKA.

Matka iey y Brat powierzyli mi ią, co ia odpowiem, gdy mnie się o nią zapytaią? zmiłuy

ſię Panie, albo niech mnie ią oddadzą, albo.....
Niech mię raczey zamkną z nią weſpòł.

SKARBNIK *do ſiebie.*

Tego ſię ſpodziewam.

(*do Poczciwſkiey*)

Ale teraz idź ſobie. Wyniydź ztąd zaraz, ani ſię tu pokazuy; bo ieźli ſię co ſtanie, ia nie będę winien.

POCZCIWSKA.

Ale oddadząż mi ią? mogę zaufać?

SKARBNIK.

Możeśz, możeſz; wychodź tylko.

LORENS *kiedy ona wychodzi.*

Zeby ią diabli porwali wraz z Szwaycarem, co ią tu puſcił.

SKARBNIK *do Lorenſa.*

A ty Niecnoto ... idź ... Odprowadź ią ... A bądź pewnym, że ieżeli dowiedzą ſię, że z nią gadałem ...„ Albo tu Ona powròci .... Zadłabię ciebie.„

SCENA XIII.

SKARBNIK *ſam,*

Kochanka Pana Sieſtrzana w Domu Ludwiki!.. Co za nowina!.... Przeczuwałem ia, że Lokaie

mu-

mufzą tu także należeć .... Uftawnie fię fzaftali, cykali na fiebie, fzeptali. To mnie pilnowali, to unikali mnie .... Jeft tu Kobieta, która cienia moiego ftrzeże .... Otóż to te wfzyftkie awantury, które mnie zaczmuciły .... Skarbniku naucz fię odtąd nic nie zaniedbywać, Zawfze tam cóś być mufi, gdzie uftawiczny hałas.... Mieli oni dobrą racyą bronić tey babie weyścia .... Hultaie.... Szczęśliwy, iakiś przypadek fprowadził mnie tam.... Teraz trzeba fię namyślić, co mamy robić .... Trzeba fię cicho fkradać, aby ich befpieczeńftwa nie przerwać .... Póydę do famego Starofty ...., Nie. To na nic fię nie przyda? Skarbniku, trzeba tu twoią pokazać fprawność ..... Ale, ale ia mam ten arefz....., Oni mnie go oddali. (*dobywa*) tak ieft, oddali ....., Oiakem fzczęśliwy!.. Terazże go użyię .... Wpadam tam wkrótce. Porywam Jmść Dobrodzikę. Przepędzę za kray Swiata hultaia, co to wfzyftko zrządził...., Dwa razem nifzczę związki .... Y Pannie Sieftrzenicy doftanie fię .... A fam gofpodarz; dam fię y iemu we znaki....

(*z ukontentowaniem*)

Zemfzczę fię z Oyca, Syna, Córki y ich Przyiaciela...., O Skarbniku! co to za dzień dla ciebie.

AKT-

AKT V.

SCENA I.

LUDWIKA, MARYSIA.

LUDWIKA.

Ah umieram z boiaźni !.... Lorens nie powrócił ieſzcze ? Maryſiu.

MARYSIA.

Nie ieſzcze.

LUDWIKA.

Gdzieby on poſzedł.

MARYSIA.

Nie mogłam ſię dowiedzieć.

LUDWIKA.

Co to ſię ſtało? iakiś hałas!....

MARYSIA.

Tak ieſt, barzo wielki powſtał hałas. Niewiem, wiele ich tam było. Latali, biegali, iakby z naywiękſzym intereſſem. Potym iednym razem hałas przeſtał. Jam ſię zbliżyła na palcach y ſłuchałam z wielką pilnością. Ale ſnic

nie

nie usłyszałam, tylko same słów ucinki. Skarbnik tylko we złości krzyczał. Instigatora.

LUDWIKA.

Może kto postrzegł?

MARYSIA.

Nie postrzegł nikt.

LUDWIKA.

Może nas Lorens wydał?

MARYSIA.

A to może być! bo z tamtąd, iak błyskawica zniknął.

LUDWIKA

A móy Wuy?

MARYSIA.

On wyszedł sam piechoto.

LUDWIKA.

Jdźże..., Zywo tylko .... Oh nie, poczekay; poczekay powrotu Wuja moiego.... Pilnuy go.... A tym czasem znayidź Lorensa .... Trzeba się dowiedzieć, co on mówił. (*Marysia wychodzi, Ludwika ią woła y mówi*)

Jak tylko przyidzie Erast, powiedz mu, że ia tu iestem.

SCE-

SCENA II.

LUDWIKA *sama, potym Jan.*

LUDWIKA.

Do czego przywiedziona iestem!.... Ah Erascie!.. Całam zmieszana!.... Wszystko mnie lękać zdaie się!.... Wszystko.....

do Jana, który nadchodzi

Braciszku; Lorens zniknął. Nie wiedzą co on mówił, ni co się z nim stało .... Skarbnik wyszedł sam potaiemnie .... nadchodzi wielka burza. Widzę iuż ią. Czuię. Nie będę czekać na nią.

JAN.

Chceszże mnie opuścić, po tak wielkich dla mnie hazardach?

LUDWIKA.

Ah źlem postąpiła. Barzo źle .... Zofia iuż zostać nie chce, trzeba będzie ią puścić. Móy Oyciec dostrzegł iuż pomieszanie moie. Umartwieniem przenikniony, a od dzieci odstręczony, zapewne pomyśli, że podły uczynek iakiś, któryśmy popełnili, przymusza nas do unikania iego, a tym samym żałości iego zaniedbania .... trzeba iuż doń

przy-

przyſtąpić. Eraſt ſtracił iuż u niego ſzacunek; Eraſt, ktòrego chciał.... Braciſzku, czyż zgodzi ſię to z twoiemi ſentymentami? narażać przyiaciela, własną Sioſtrę y dni Oycowſkich ſpokoyność mieſzać.

JAN.

Nie; ia widzę, pokoiu mieć nie będę.

LUDWIKA.

Jeśli ſię przebiła ta kobieta.... ieśli Skarbnik dowiedział ſię!...z iakim zaufaniem czernić nas mògłby; iakby pięknie konduitę naſzą odmalował Oycu moiemu; a to w tym momencie, gdzie ſerce iego na wſzyſtkie przeciw nam wrażenia ieſt otwarte.

JAN.

Gdzie ieſt Eraſt?

LUDWIKA.

On trwoży ſię za Ciebie. Za mnie. Poſzedł dopiero do tey kobiety....

SCENA III.

LUDWIKA, JAN.

Maryſia wpada y mòwi,

Skarbnik przyſzedł.

SCENA IV.

LUDWIKA, JAN, ERAST.

ERAST.

Już wie wſzyſtko Skarbnik.

LUDWIKA y JAN *razem z przeſtrachu.*

Skarbnik wie wſzyſtko!

ERAST.

Ta Kobieta dobiła ſię do Skarbnika. Poznała Lorenſa. Który zaſtraſzony od Skarbnika wyznał wſzyſtko.

LUDWIKA.

Ah!

JAN.

Co to ſię ſtanie ze mną!

LUDWIKA.

Co na to móy Oyciec powie?

ERAST.

Czaſu ſzkoda. Płacze tu nic nie pomogą. Jeśliśmy nie mogli uniknąć ani uprzedzić razu, który nam grozi, przynaymniey trzymaymy ſię razem, gotowi wſzyſcy na znieſienie iego.

LUDWIKA

Ah Eraſcie! cożeś uczynił?

ERAST.

ERAST.

Oiakem ieſt nieſzczęśliwy!

SCENA V.

LUDWIKA, JAN, ERAST, MARYSIA.

MARYSIA *wpada y krzyczy.*

Oto Skarbnik idzie.

ERAST.

Trzeba nam wyiść.

LUDWIKA.

Nie, ia czekać Oyca moiego będę.

JAN.

O Nieba! co ty chceſz robić!

ERAST.

Jdźmy my tylko.

JAN.

Jdźmy Zofij pilnować!

LUDWIKA.

Opuſzczaią mnie!

SCENA VI.

LUDWIKA *ſama, idzie, powraca, mòwiąc.*

Nie wiem co robić.....

(*zwra-*

(zwraca się do theatrum y krzyczy)

Eraście .... Janie .... o móy Oycze, co ci ia powiem! ... co ia Wuiowi powiem .... oto y idzie .... usiądę .... robotę wezmę .... to przynaymniey uwolni mnie od patrzania na niego.

Skarbnik wchodzi, Ludwika wstaie y wita go, oczy na dół spuszczone.

SCENA VII.

LUDWIKA, SKARBNIK.

SKARBNIK *odwraca się do theatrum.*

Ludwiko, ty tam masz Garderobianę swoią, diabelnie pilną.... Nie można stąpić, aby ią nie spotkać.... ale y ty cóś smutna y zamyślona.... wszyscy dziś widzę są zmartwieni.

LUDWIKA *zaiękiwaiąc się.*

Tak iest. Ja rozumiem.... że.... E.... Ah!

SKARBNIK *na lasce wsparty y stojąc przed nią.*

Cóż to za głosek, y rączki Pańskie trzęsą się.... Co to za okrutna rzecz, te pomieszanie!... Już Brat twóy ochłonął trochę .... o tóż to wszyscy oni są tacy .... iednym razem rospacz aż do zabicia się, potym znow oziębłość y spokoyność nadnaturalna .... Może się mylę, ale zdaiemi się, że y

ty

ty zabrnąłaś równie iak Brat twòy.

LUDWIKA *mówiąc do roboty. (Cykhnie)*

Jeszcze!

SKARBNIK, *z Jronią.*

Robota twoia cóś nie udaie się.

LUDWIKA *smutnie.*

Tak iest.

SKARBNIK.

Jakże twóy Brat y Erast są teraz z sobą?... dosyć dobrze. He?... iak się to teraz odkryło;... wszystko się na końcu wyda, a potym, tak się to trzeba wstydzić, kiedy się źle zrobi.... ty widzę, nic nie wiesz, ty, co tak dobra do intrygi iesteś. Hę?

LUDWIKA *na stronie.*

Już nie wytrzymam.

(wstaie)

Słyszę głos Oyca moiego.

SKARBNIK.

Nie, ty nic nie słyszysz?... osobliwszy też to człowiek twóy Oyciec. Zawsze zabawny, zainteressowany, a sam niewie nad czym. Zawsze zdaie się cóś uważać, a nic nie widzi.... Ale powròćmy do Erasta...., kiedy ty z nim nie iesteś,

spo-

ſpodziewam ſię, że nie gniewaſz ſię kiedy ci o nim mówią.... widzę, nie omyliłem ſię w moim o nim rozumieniu ......

LUDWIKA.

Móy Wuju !....

SKARBNIK.

Nie o tobie ?.... Co dzień w nim iakiś nowy przymiot znayduię, ale dziś naylepiey iego poznałem .... To chłopczyna roſtropny !....

(*Ludwika porywa ſię*)

Do kogo ſię to tak ſpieſzyſz?

LUDWIKA.

Mam intereſs.

SKARBNIK.

Do kogo?

LUDWIKA.

Do Oyca moiego. Czekałam nań. Ale już ſama póydę do niego.

SCENA VIII.

SKARBNIK *ſam.*

Nie ſpokoyna; radzę ci nią być.... Niewieſz, co ciebie czeka.... Na próżno płakać, wzdychać

będzieſz

będzieſz.... Trzeba będzie ſię rozłączyć z Eraſtem.. Rok, albo dwa, lata Klaſztoru .... Ale, ale zrobiłem omyłkę. Jmie Maryſi, wyśmienicie zmieściłoby ſię w tym ſamym areſzcie, a nicby więcey nie koſztowało.... Ale cóś Tatulko nie przychodzi.... Nie mam już nic do robienia, y nudzę ſię ....

(poſtrzegłſzy przychodzącego Staroſtę)

Przychodźże Staruſzku, przychodź,

SCENA IX.

SKARBNIK, STAROSTA.

STAROSTA.

Y cóż tam nagłego maſz mnie mówić?

SKARBNIK.

Zaraz będzieſz wiedzieć.... Ale tylko moment....

(idzie z flegmą do końca Sali y mòwi do kobiety, ktòra go ſię podſłuchuie)

Słuchay Wc. Panna, ſłuchay; nie żenuy ſię; zbliż ſię, będzie ci lepiey ſłuchać.

STAROSTA.

Co tam takiego? do kogo to mówiſz?

SKARBNIK,

Do Córki twoiey Garderobianey, która nas pod-

podſłuchuie.

STAROSTA.

O tòż ſą ſkutki nieufnośći, ktòrąś utworzył między moiemi Dziećmi, a ſobą. Oddaliłeś ich odemnie, a pobratałeś ich zludźmi.

SKARBNIK.

Nie, mòy Bracie; nie ia to oddalam ich od ciebie, ale boiaźń, aby ich kroki z bliſka nie wydały ſię. Jeżeli z ludźmi ſwoiemi, jak ty mówiſz, bratają ſię, to że im trzeba było kogoś, któryby im w ich uſłużył intrydze. Ty niewieſz nic co ſię na koło ciebie dzieie.... Rozumieſz? kiedy ſobie zaſypiaſz w cichey ſpokoynośći, albo opuſzczaſz ſię żałościom, rzadko widzianym, bezrząd utworzył ſię w Domu twoim. A ten zyſkał y ludzi y dzieci twoich; ſłowem wſzyſtko, co ſię na koło ciebie uwiia .... Nigdy tu poſłuſzeńſtwa nie było; więc y teraz nie maſz tu ni przyſtoyności, ni obyczajow.

STAROSTA.

Ni obyczaiow!

SKARBNIK.

Ni obyczaiow.

STAROSTA.

Mci Panie Skarbniku, wytłumacz się Wc. Pan.... Albo nie; porzuć lepiey ....

SKARBNIK.

Nie, to nie moie zdanie.

STAROSTA.

O gdybyś wiedział, iakem ieſt zmartwiony!

SKARBNIK.

Tak miękkiego ſerca, iak ty ieſteś, nie może żaden powziąć gniewu, ktòry w tym razie Oycu przyſtoi. Co mnie do tego. Ja czynię, com powinien, ieśli mnie nie poſłuchaſz, ſam ſobie winien będzieſz.

STAROSTA.

Przerażaſz mnie! co to takiego zrobili oni?

SKARBNIK.

Co zrobili? rzeczy barzo ſpecialne! poſłuchay tylko.

STAROSTA.

Słucham.

SKARBNIK.

Ta Dziewczyna, która ci tak wiele zrządziła przykrosci ....

STARO-

STAROSTA.

No, y cóż?

SKARBNIK.

Jak ſądziſz, gdzie ona ieſt teraz?

STAROSTA.

Co ia mam wiedzieć.

SKARBNIK.

Nie wieſz ?..... Wiedźże, że ieſt w Domu twoim.

STAROSTA.

w Domu moim!

SKARBNIK.

Tak ieſt .... u Ciebie .... u Ciebie ...., A kto rozumieſz ią tu przywiodł?

STAROSTA.

Eraſt.

SKARBNIK.

A ktòra ią przyięła?

STAROSTA.

Ah móy Bracie! poczekay.... Ludwika....

SKARBNIK.

Tak ieſt, Ludwika .... Tak, twoia Córka przyięła u ſiebie kochankę Brata ſwoiego. To ieſt dość uczciwie! He?

STAROSTA.

Ah!

SKARBNIK.

Ale Eraſt przedziwnymci zawdzięcza ſpoſobem łaſki twoie.

STAROSTA.

Ah Ludwiko, Ludwiko! gdzieżeś podziała ſentymenta od Matki twoiey wrażane?

SKARBNIK.

Kochanka Syna twoiego, w Domu twoim, w pokoju Córki twoiey !.... Oſądź ſam, oſądź.

STAROSTA.

Ah Eraſcie !.... Ah mòy Synie !.... O jakem ia nieſzczęśliwy!

SKARBNIK.

Jeżli im ieſteś, to przez właſną winę. Sam to przyznay ſobie.

STAROSTA.

Wſzyſtko w iednym tracę momencie; Syna, Còrkę, Przyiaciela.

SKARBNIK.

To twoia wina.

STARO-

STAROSTA.

Nie zoſtaie mi, iak tylko Brat okrutny; który ma upodobanie; powzięte umartwienie powiękſzać, ile możnośći .... Okrutniku, zoſtaw mnie. Przyſzliy mi Dzieci moie, chcę ie widzieć.

SKARBNIK.

Twoie dzieci? Nie woląż dzieci twoie bawić ſię z ſobą, niżli ſłuchać twoich użaleniow? Kochanka Syna twoiego.....przy nim....w pokoiu Córki twoiey.... mogąż ſię oni nudzić?

STAROSTA.

Poczekay tyranie! ... ale nie, dokącz mię raczey zabijać!

SKARBNIK

Ponieważ nie chciałeś mnie ſłuchać, kiedym cię oſtrzegał, abyś zabiegł zbliżaiącemu ſię złemu, a tym ſamym umartwienie poprzedził; martw ſię teraz, nie godzieneś litości.

STAROSTA.

O Nadziejo utracona!

SKARBNIK.

Dozwalałeś nałogom ich wzroſtu, z ich wiekiem, a ieśli zdarzało ſię, że kto ie ukazywał tobie, odwracałeś oczy; uwłaczałeś ſam ſobie powagi, wſzyſtkim ich chęciom nie zamierza-

iąc mety.

STAROSTA.

Co to za ostatki zycia moiego będą! nie znaydę nikogo w podeszłych leciech, aby zmartwienia osłodzić żechciał, pocieszyć raczył.

SKARBNIK.

Kiedym ci mòwił; Braciszku; pilnuy Córkę swoią y Syna, który się psuie, masz iednego w domu swoim niecnotę, wygnay go; miałeś mnie za człowieka przykrego, złośliwego y importuna.

STAROSTA.

Trzeba umrzeć. Trzeba umrzeć? bo kogóż znaydę, któryby poczuł żałość moią, y nad nią się zlitował? ... Ah!... Ah!... (*płaczę*)

SKARBNIK

Zaniedbywałeś rady moie. Nie słuchałeś ich. Smiałeś się z ich. Płaczże teraz, płacz. Martwsię.

STAROSTA.

Mam dzieci. Zyię nieszczęśliwym, a umrę od wszystkich opuszczony .... Na co mi się zdało być Oycem?.... Ah!

SKARBNIK.

Płacz. Płacz teraz!

STA-

STAROSTA.

Okrutny! za każdym słowem twoim, wybucha z ciebie zaiadłość, która trapi mą duszę... Ale nic; dzieci nie tak się daleko zwinili, iak opowiadasz. Nie winne są zapewne. Nie mogę wierzyć, aby się zapamiętali, aż do mnie zapomnienia .,. Janie!.. Ludwiko!... Eraście!... Gdzież są oni?... Jeśli żyć oni mogą bezemnie, ia bez nich nie zdołam.... Chciałem ich opuścić!..... Ja miałbym ich opuścić! Niech przyidą.... U nóg moich przebaczenie wymogą;

SKARBNIK.

Nie maszże wstydu?

STAROSTA.

Niech przyidą.... Niech się uskarżą.... Y użalą'....

SKARBNIK.

Chciałbym serdecznie, żeby z nich który zasadził się y słyszał, co mòwisz.

STAROSTA.

Y cóż, nicby nowego nie dowiedzieli się.

SKARBNIK.

Prawda, są tego skutki.

STAROSTA.

Muszę ich widzieć, przebaczę im, 'albo znienawidzę.....

SKAR-

SKARBNIK.

Póydźże fobie do nich. Przepuść im. Kochay ich, niech będą na zawfze umartwieniem y wftydem twoim. Co do mnie, pòydę fobie z tąd daleko, abym iuż nigdy, ani o nich, ni o tobie mógł ufłyfzeć.

SCENA X.

SKARBNIK, STAROSTA, POCZCIWSKA, RZĄDNICKI, LORENS.

SKARBNIK *poftrzegłfzy Poczciwfkę.*

Baba niepoczciwa!

do Lorenfa.

A ty Hultaiu, co ty tu robifz?

POCZCIWSKA, RZĄDNICKI, LORENS *razem* (*do* SKARBNIKA)

Mos Panie!

SKARBNIK *do Poczciwfkiey.*

Czego tu chcefz? powróć do fiebie. Ja pamiętam, com ci przyrzekł, y dopełnię obietnicę.

POCZCIWSKA.

Mos Panie.... Widzifz radość moją ... Zofia.

SKARBNIK.

Jdźże fobie, iuż ci mòwię.

RZĄDNICKI.

Mos Panie, chciey ią wysłuchać.

POCZCIWSKA.

Z samnoią.... Te dziecie.... nie ieſt tym, co ſię być zdaie... Mos Panie Ekonomie... mów za mnie. Ja nie mogę.

SKARBNIK *do Rządnickiego*.

Czyż nie znaſz tych kobiet, uſtawne plotki tylko robią... wſtydziłby ſię w wieku ſwoim tak być łatwowiernym.

POCZCIWSKA *do Staroſty*.

Mci Dobrodzieiu, ona ieſt u Pana.

STAROSTA *na ſtronie z żałością*.

Więc prawda ieſt!

POCZCIWSKA.

Ja nie wyciągam, żeby mi wierzono .... Niech iey każą tu przyiść.

SKARBNIK.

To zapewne krewną będzie Eraſta, któryby bez ciebie boſo chodził.

Słychać hałas, tumult z za Theatrum, krzyk zmieſzany.

STAROSTA.

Co to za hałas?

SKAR-

SKARBNIK.

E, to nic nie masz, nic.

LUDWIKA *z za Theatrum.*

Albercie, Albercie; day znać Oycu moiemu.

STAROSTA.

Ah to głos córki moiey!

POCZCIWSKA *do Starosty.*

Mci Dobrodzieiu. Każ Panie moie przywieść dziecie!

JAN *ze wnątrz.*

Ani waż się zbliżyć ... Bo zginiesz. Zginiesz mówię ci!

POCZCIWSKA y RZĄDNICKI *razem.*

Ah! Panie, zmiłuy się, póydź tam!

SKARBNIK *do Starosty.*

E, to nic, mówiłem, że nic nie iest.

SCENA XI.

SKARBNIK, STAROSTA, POCZCIWSKA, LORENS, MARYSIA.

MARYSIA *przestraszona do Starosty.*

Zołnierze z bronią! Instygator! Mos Panie zmiłuy się, przybież tam, bo się stanie wielkie nieszczęście!

SCE-

SCENA XII. Y OSTATNIA.

PIERWSI AKTOROWIE, LUDWIKA, ZOFIA, JAN, ERAST, INSTYGATOR ALBERT, LUDZIE DOMOWI. WARTA.

Wchodzący na Scenę Aktorowie wpadaią tumultem. Jan z dobytą ſzpadą, Eraſt go utrzymuie.

LUDWIKA *wpada krzycząc.*

Móy Oycze!

ZOFIA *biegąc do Staroſty krzyczy.*

Mci Dobrodzieiu!

SKARBNIK *do Jnſtygatora.*

Mci Panie Jnſtygatorze, pełń ſwoją powinność.

ZOFIA y POCZCIWSKA *do Staroſty.*

(a pierwſza padła mu do nóg)

Mci Dobrodzieju!

JAN *utrzymywany od Eraſta.*

Trzeba mnie pierwiey życie odebrać. Puſzczay mnie Eraście.

SKARBNIK *do Jnſtygatora.*

Pełń Wc. Pan powinność ſwoią.

STA-

STAROSTA, JAN, POCZCIWSKA, RZĄDNICKI *do Instygatora.*

Czekay.

POCZCIWSKA y RZĄDNICKI *do* SKARBNIKA, *zwracaiąc Zofią na iego stronę, która na klęczkach zawsze.*

Mci Panie, spóyrzyi tylko na nią!

SKARBNIK *nie widząc ią.*

Jmieniem Króla mòwię ci, Panie Instygatorze, pełniy swoią powinność?

JAN *krzycząc.*

Czekay.

POCZCIWSKA *Rządnicki do Skarbnika, w ten czasz, kiedy Jan.*

Obacz ią tylko.

ZOFIA *do Skarbnika.*

Mci Dobrodzieiu.

SKARBNIK *zwraca się, spóyrzy. y mówi.*

Ah!

POCZCIWSKA *y Rządnicki.*

Tak Mci Panie, to ona. To Pańska Siestrzenica.

JAN, LUDWIKA, ERAST, MARYSIA *razem.*

Zofia Skarbnika Siestrzenica!

ZOFIA (*zawsze u nóg Skarbnika*)

Móy Wuiu!

SKAR-

SKARBNIK *ze złością.*

co to tu robisz?

ZOFIA *drżąca.*

Nie gub mnie.

SKARBNIK.

Czegoś wyiechała z Litwy? czemuś z tąd nie iechała, kiedym ci mòwił?

He?

ZOFIA.

Mòy Wuiu poiadę. Powrócę. Nie gub tylko mię.

STAROSTA.

Chodź moie Dziecie. Podnieś się.

POCZCIWSKA.

Ah Zofio!

ZOFIA.

Ah Jmość!

POCZCIWSKA.

Sciskam cię.

ZOFIA *razem.*

Przecie cię widzę!

LUDWIKA *do nóg pada Oyca.*

Mòy Oycze, nie chciey potępiać Còrkę twoią nie wysłuchawszy ią. Mimo wszystkie pozory

ona ieſt niewinną. Nie mogła ona ni rozważyć ſię, ni radzić ſię ciebie....

STAROSTA (*tonem trochę ſrogim, ale tkliwym*)

Moia Córko, wielkąś popełniła nieroſtropność.

LUDWIKA.

Mòy Oycze!

STAROSTA *z łagodnością*.

Podnieś ſię.

JAN.

Mòy Oycze. Płaczeſz!

STAROSTA.

A to nad tobą. y nad Sioſtrą twoią. Moie Dzieci, za cożcie mnie zaniedbali? uważcie, ſkoroście ſię tylko oddalili odemnie, zarazżeſcie zbłądzili.

JAN *y Ludwika całuiąc iego ręce*.

Ah mòy Oycze!

(*Skarbnik zdaie ſię być zmieſzanym*)

STAROSTA *otarłſzy oczy, mòwi tonem poważnym do Skarbnika*.

Mci Skarbniku, zapomniałeś, że u mnie ieſteś.

INSTYGATOR.

Czy to nie Jegomość tego Domu Panem?

STAROSTA *do Inſtygatora*.

Powinienbyś to Wc. Pan przed weyściem weń

ſwo-

ſwoim wiedzieć. Jdź ſobie Wc. Pan, odpowiadam za wſzyſtko.

(*Inſtygator wychodzi*)

JAN.

Mòy Oycze.

STAROSTA *złagodnoſcią.*

Rozumiem cię!

JAN *pokazuiąc Zofią Skarbnikowi.*

Móy Wuiu!

ZOFIA *do Skarbnika, który ſię odwraca od niey.*

Nie odpychay od ſiebie Brata właſnego Dziecie.

SKARBNIK *nie widząc ią.*

Tak ieſt. Bezrządnika, człeka bez Konduity, który miał więcey, niźli ja, y wſzyſtko ſtracił, y który cię przywiodł do takiego ſtanu.

ZOFIA.

Pamiętam, kiedym Dzieckiem ieſzcze była, na ten czas kareſſowałeś mnie. Mówiłeś, oſwiadczałeś ſię dla mnie. Jeżli cię martwię teraz, to pòydę ſobie, powrócę. Odzyſzczę Matkę moią, biedną Matkę, która całe ſwoie nadzieie w tobie założyła....

JAN.

Móy Wuiu!

SKAR-

SKARBNIK.

Niechcę was ni widzieć, ni ſłyſzeć,

STAROSTA.

Móy Bracie!

RZĄDNICKI.

Mci Skarbniku!

JAN.

Móy Wuiu.

STAROSTA.

Tóż przecie Synowica twoia!

SKARBNIK.

Po cóż tu przyiechała?

STAROSTA.

To krew twoia.

SKARBNIK.

Y dla tego ſię martwię.

STAROSTA.

Jmie twoie noſi!

SKARBNIK.

Tym ci gorzey.

STAROSTA *pokazuiąc Zofią*.

Spóyrzyi na nią. Którzyż krewni ſzczycić ſię niey niechcieliby!

SKAR-

SKARBNIK.

Nic nie ma ona, ostrzegam was.

JAN.

Ona wszystko ma, co tylko do szczęścia potrzeba.

STAROSTA.

Oni się kochaią.

SKARBNIK *do Starosty.*

Chcesz ią mieć swoią Synową!

STAROSTA.

Kiedy się kochaią!

SKARBNIK *do Jana.*

Ty ią chcesz poiąć?

JAN.

Jeśli chcę. Któżby nie chciał!

SKARBNIK.

Dobrze; pozwalam. Kiedyś się napart....

do Starosty.

Ale pod iednym warunkiem.

JAN *do Zofij.*

Ah Zolutko! nie będziemy iuż rozłączeni!

STAROSTA.

Mòy Bracie, zupełna łaska. Bez warunkow

SKARBNIK.

Nie. Muficie mnie zrobić sprawiedliwość z Ludwiki, y z tego Obłudnika.

JAN.

Sprawiedliwość! Cóż oni zrobili? Mòy Oycze, do ciebie się w tym odwoływam.

STAROSTA.

Ludwika umie czuć y myśleć. Sama ona sobie wymówi. Niechcę ią więcey martwić. Eraście .... Przebaczam ci ... Szacunek y Przyiaźń moia, stałą ci będzie; wspierać cię nie przestanę; ale.....

Erast odchodzi z miną smutną, Ludwika nań patrzy z takąż.

SKARBNIK.

Nu, to ieszcze!

MARYSIA.

Przyidzie y na mnie koley. Uciekaymy. (*Wyszła*)

JAN *do Starosty.*

Mòy Oycze, wysłuchay mnie .... Eraście zostań ... On ci zachował Syna .... Bez niego, nie miałbyś już mnie ... Wcobym się ia obròcił ... on mnie.... zachował Zofią .... Grożono przezemnie, grożono

przez

przez Wuia moiego, Eraſt y Ludwika ſchronili ią... Nie mieli, tylko moment czaſu ... Ona nie miała tylko iedne ſchronienie ... Obronili od zapędow moich... Możeſzże ich karać za moie przeſtępſtwo!. Ludwiko przyidź tu. Trzeba zniewolić Oyca, który przykładem być może dla wſzyſtkich.

Przywodzi ią do nóg Oyca, y pada z nią u nich.

STAROSTA.

Jużem ci przepuścił. Czego chceſz więcey?

JAN.

Utwierdzić na zawſze jey ſzczęście wſzyſtkich nas wſpólnie intereſſuiące, moia Sioſtra ..., y Eraſt. Kochaią ſię iuż tak dawno.... Mów Oycze, odday ſię cały dobroci twoiey. Niech przez nią dzień dziſieyſzy będzie Nayświętſzym y nayprzyiemnieyſzym w życiu naſzym całym.

(bieży do Eraſta y woła Zofio)

Eraſcie, Zofio.... przychodźcie.... idźmy wſzyſcy Oyca tak dobrego uciſnąć nogi.

ZOFIA.

(upada do nóg Staroſty, którego rąk nigdy nie opuſzcza przez całą Scenę)

Mci Dobrodzieiu.

STAROSTA.

(podnoſząc ich wſzyſtkich)

Moie Dzieci.... Dzieci ukochane..,. Ludwiko, prawdaż to, że kochaſz Eraſta.

SKARBNIK.

A nie mówiłemże ja ci?

LUDWIKA.

Móy Oycze, przepuść mnie.

STAROSTA.

Na cóż ſię było taić przedemną? moie Dzieci, nie znacie ieſzce Oyca ſwoiego .... Zbliż ſię Eraſcie. Skrytość twoia martwiła mnie, alem cię zawſze iako Zięcia oglądał. Zdawnam ci moią Córkę przeznaczył. Niechże już odtąd twoią będzie; do ciebie należeć będzie, abyś trwałe utwierdził iey ſzczęście.

SKARBNIK.

Otóż ieſt. Tegom ſię właſnie ſpodziewał. Jeſzczeſz tylko tego nie doſtawało do dopełnienia ich głupſtwa Braciſzku kochany. Cieſzże ſię więc z twoią naymileyſzą dziatwą. Comy ſię już więcey nie obaczym.

STAROSTA.

Za cóż ſię gniewaſz, Mci Skarbniku?

JAN

JAN.

Mòy Wuiu.

SKARBNIK.

Jdź przecz pòłgłowku, opuſzczam was na zawſze. Y żebyście z głodu umierali, żadnego wam nie dam wſparcia. Nayniżſzy Sługa

(Odchodzi)

STAROSTA.

Jdźmy Dzieci moie. Obaczym, który z nas przędzey przewinienia własne chwalebnym obeyściem ſwoim nadgrodzi, y pozoſtałą z ich zmaże plamę.

JAN.

Mòy Oycze, Sioſtro, Przyiacielu; wſzyſtkich was zmartwiłem. Ale ſpóyrzyicie na nią, a oſądźcie, czymem wart ukarania?

STAROSTA.

Jdźmy dzieci moie, ſpólne naſze na zawſże uwierdzić ſzczęście.

do Zofij.

Moia Synowo; ſzczęście twoie, naymilſzą będzie zabawą y ſtarannością Syna moiego. Ty zaś z ſwoiey ſtrony ſtaray ſię przytłumić zapędy gwałtownego Charakteru. Niech ſię nauczy, że

ſzczę-

ſzczęśliwym być nie można ślepo oddaiąc ſię namiętnościom ſwoim. Niech twoia pokora, łagodność, cierpliwość; ſłowem, wſzyſtkie przymioty, któreś nam w dniu dziſieyſzym pokazała; będą zamiarem czynności jego, y celem ſzacunku....

JAN *z żywością.*

Ah! bez wątpienia móy Oycze!

STAROSTA *do Eraſta.*

Mòy Zięciu, móy miły Zięciu! ledwem ſię przecie doczekał prawa nazywania cię tym imieniem.

Na ów czas Ludwika całuie w rękę Staroſtę.

Ty uſzczęśliwiſz dni Còrki moiey. Nie wątpię, że y ſwoie z nią mile przepędzać będzieſz. Ja zaś wſzyſtkim wam pomyślność upewnić ſtarać ſię będę...., Zofio, trzeba tu twoią wezwać Matkę, Braci. Jdziecie dziatki moie przed Ołtarz; u nòg ktòrego wypełnić trzeba przyrzeczenie, y ie zaſilić przyſięgą kochania ſię trwale, aż do życia zgonu .... Zbliżcie ſię .... Przyidź Eraście .... Przychodź Zoſio.

(*Wſzyſtkich czterech łączy ręce y mówi*)

Przyſtoyna Dama y Człowiek godny, ſą dwa ieſteſtwa, z przyrodzenia naytkliwſze. Ukażcie to Swiatu, a ſłodkim z ſobą obchodzeniem ſię przeſwiadczcie go, że ſzczęście Małżeńſtwa iedy-

nie

nie na wſpólnym zaſadza ſię ſzacunku .... O!
y was tak Niebo błogoſławiło, iak ia was

da ręce nad imi, oni ſię ſchilaią dla przyięcia
iego błogoſławieńſtwa)

ń ten, który was ſpaia ieſt na[illegible]więkſzym
m życiu waſzym. O gdyby mógł być
y nieyſzym!.... Jdźmy Dzieci moie....
e okrutno.... Ile ſłodko ieſt być Oycem!
hodząc z Sali Sraroſta dwie Córki pro-
Jan z Eraſtem weſpół idą, Rządnicki
rękę Pani Poczciwſkiey; reſzta idzie w
e, a wſzyſcy w radości.

KONIEC.

